Nr. 24. Lwów, Niedziela dnia 11. Czerwca 1876 r. Rok III.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XXIII.

Pedagodzy wiedeńscy.

Z codziennych pism politycznych wiadomem być musi czytelnikom naszym, że ministerstwo oświecenia publicznego zarządziło ostatniemi czasy nadzwyczajną inspekcję galicyjskich szkół średnich. Zesłano na nią inspektora Marescha, który zaraz na wstępie oświadczył, że po polsku nie rozumie, i zażądał w skutek tego, ażeby z wszystkich przedmiotów, w których wykłady odbywają się w języku polskim, profesorowie przy nim wykładali i pytali uczniów po niemiecku, i żeby uczniowie odpowiadali także po niemiecku. Tym też trybem odbyła się w istocie sławna owa wizytacja.

Sprawa ta ma dwie strony: polityczną, którą pozostawić musimy innym pismom, i pedagogiczną, o której słów parę powiemy, wchodzi ona bowiem ściśle w zakres naszego pisma i tych tu „luźnych uwag."

Jeżeli — zapomniawszy nawet zupełnie o owej stronie politycznej — ze stanowiska pedagogji tylko zastanowimy się nad tą z Wiednia zarządzoną i w ten sposób uskutecznioną wizytacją, musimy przyjść do tego smutnego rezultatu, że albo względy pedagogiczne padły tutaj ofiarą polityki, co raz tylko do spraw szkolnych wprowadzone najzgubniejsze powoduje następstwa, albo też, że we Wiedniu pedagogja stoi na stopniu rozwoju tak niskim, iż raczej tamtejsze szkoły wymagałyby nadzwyczajnych wizytacyj!

Wiadomo, że od czasu wydania ustawy o języku wykładowym z d. 22 czerwca 1867 — a zatem już od lat dziewięciu — zaprowadzono język polski jako wykładowy w szkołach średnich. Język niemiecki jest przedmiotem obowiązkowym, którego nauka odbywa się w niższych klasach w języku ojczystym, zaś w wyższych tylko klasach jest dla tej nauki wykładowym język niemiecki. Dzisiaj przeto w szkołach średnich (z wyjątkiem jednego gimnazjum we Lwowie i jednego w Brodach) nie ma już ani jednego ucznia, któryby słuchał był nauk w języku niemieckim. Wobec tego stanu rzeczy spada nagle nadzwyczajny inspektor i domaga się, ażeby uczniowie odpowiadali przy nim po niemiecku. Celem zaś tej inspekcji było nie tylko przekonać się o postępie uczniów w języku niemieckim, ale oraz o stanie nauki w ogóle. Owoż twierdzimy, iż tym postępując trybem, inspektor ani o jednem, ani o drugiem przekonać się nie mógł, a wszelkie wnioski jakieby ze swej wizytacji wysnuł, będą, muszą być zupełnie fałszywe.

Co do samej nauki języka niemieckiego, cel wizytacji mógł być tylko w ten sposób osiągniętym przez inspektora, ojczystym językiem uczniów nie władającego, gdyby tenże w klasach wyższych, w których niemiecki język jest wykładowym dla nauki tegoż języka, był uczniów z przedmiotu tego egzaminował, przekonał się o biegłości w opowiadaniu odczytanych ustępów, o znajomości prawideł gramatycznych, gdyby był zajrzał do zadań pisemnych, o ile uczniowie nabyli wprawy w pisaniu po niemiecku, i z tego wysnuł wnioski. Ale już do klas niższych dla przekonania się o postępach uczniów w języku niemieckim, koniecznym był inspektor władający ojczystym ich językiem. Tu bowiem wykład tego przedmiotu odbywa się w języku polskim — i zupełnie słusznie. Nauka języka obcego jeżeli nie ma dać samą tylko mechaniczną wprawę, która nie wystarcza jeszcze do ustrzeżenia od licznych bardzo błędów, ale ma być nauką gruntowną, dającą zupełne zrozumienie języka, dozwalającą później wniknąć w jego ducha — musi się z początku odbywać na podstawie języka ojczystego, w którym uczniowie mają już nie tylko mechaniczną z domu wyniesioną biegłość, ale też i znajomość zasadniczych prawideł gramatycznych. Przez porównywanie obu języków, zestawianie różnych w nich sposobów mówienia, i różnych prawideł rządzących czy to odmianami słów czy składnią — uczniowi silniej się wbijają w pamięć prawidła tak jednego jak i drugiego języka, co zaś najważniejsza: nauka przestaje być zupełnie mechanicznem wyuczeniem się. Otóż w tych klasach, pragnąc się przekonać o postępach uczniów w nauce obcego języka, trzeba prócz niego znać także ojczysty język uczniów, inaczej bowiem nie ma się najważniejszej podstawy do ocenienia tych postępów. Nadzwyczajny inspektor znać nie wiedział o tem, co wie z pewnością każdy z podwładnych mu nauczycieli, lecz w tych klasach pytał po niemiecku. Co zaś jeszcze bardziej rażące, że o stanie nauki języka niemieckiego miał się przekonać z tego np. — jak uczniowie dają po niemiecku odpowiedzi z fizyki, historji naturalnej, matematyki itp. Jeżeliby nam szan. inspektor wskazał jedną w Europie całej szkołę średnią tego rodzaju, w którejby celem nauki obcego języka (np. w szkołach niemieckich francuskiego) było i być mogło nabycie wprawy w traktowaniu w s z e l k i c h naukowych kwestyj w tym języku — w którejby uczono języka obcego tak, żeby uczeń wszelkie naukowe termina z wszystkich obszarów wiedzy w tym języku sobie przyswoił — damy mu za wygraną. Przywołajmy sławnego chemika lub astronoma, który uczył się tych przedmiotów i pisał o nich w języku niemieckim, a bardzo nawet jest biegłym w języku francuskim, i każmy mu po francusku wyłożyć np. teorję powinowactwa chemicznego albo teorję krążenia ciał niebieskich — a pewno natrafi on w swym wykładzie na bardzo znaczne trudności, i nie raz będzie się łamał z formą. Cóż dopiero uczeń szkoły średniej, który nie ma czasu robić studjów specjalnych z tego lub owego przedmiotu w obcym języku, ale cały czas swój obrócić musi na naukę ściśle szkolną i w języku wykładowym, ojczystym! Nawet najbieglejszy uczeń, zapytany w języku obcym z przedmiotu specjalnego, nie będzie — pod względem językowym — odpowiadał dobrze, wśród ciągłej bowiem dwoistości myśli, zwracającej się i ku przedmiotowi i ku formie jego, którą uczeń dobrze nie włada, ani sama myśl odpowiedzi nie pójdzie w należytym kierunku, ani też forma nie może być od usterek wolną.

Z tej samej też przyczyny nie może ten sposób odbywania inspekcji dać miary postępu naukowego uczniów w poszczególnych przedmiotach. Zostając pod wrażeniem nadzwyczajnej a groźnej inspekcji, zmuszony odpowiadać w ję-

zyku, w którym się danego przedmiotu nie uczył, łamiąc się w toku odpowiedzi z samą jej formą, goniąc za wyrażeniami, których w użyciu nie ma, uczeń nie może odpowiadać dobrze, bo zanim trudności te pokona, już tok myśli jest przerwany, już pamięć zajęta czem innem, traci chwilowo swą intenzywność i musi co chwila szukać nowego punktu oparcia. Znamy ludzi, którzy uczeni w szkołach po niemiecku, postarzeli się i posiwieli z tem, że liczą zawsze po niemiecku; i gdy licząc *drei und vier* bez namysłu dochodzą do *sieben*, nieraz się zastanowić muszą, gdy im liczyć przyjdzie po polsku. O tych pewnoby p. inspektor nie powiedział, że nie znają *Einmaleins*. Więc i ci, którzy uczeni po polsku z trudnością liczą po niemiecku, jeszcze mimo to mogą być wybornymi rachmistrzami. Znamy nauczycieli szkół średnich, którzy wybornie władali językiem polskim — ale uczeni w szkołach po niemiecku, przywykli w tymże języku sami wykładać, gdy od roku 1867 mieli wykładać po polsku, przesiadywać musieli całemi nocami, i ciężko pracować zanim przyswoili sobie i termina techniczne polskie, i nawet sposób wyrażania się w specjalnych naukowych kwestjach. A przecież chodziło tu o język ojczysty! Weźmyż teraz stosunek odwrotny; przypomnijmy sobie, że rzecz się tu rozchodziła nie o dojrzałych naukowo mężów, lecz o młodziutkich adeptów nauki, że kazano im — uczonym w języku ojczystym — odpowiadać w obcym: a przekonamy się, że na tej zasadzie dokonana inspekcja jest chyba tylko czczą komedją, a gdyby była pojęta na serjo, byłaby policzkiem wymierzonym wszelkim zasadom pedagogji i dydaktyki, a wysnute z niej wnioski o stanie nauki w szkołach średnich byłyby wręcz fałszywe. I gdyby czy to sam p. nadzwyczajny inspektor, czy też przełożony jego miał bez przygotowania odpowiedzieć w biegłym mu zapewne języku francuskim, na jakiekolwiek zapytanie naukowe, pewno by się przekonał, że w pisaniu instrukcji jego i mandatu do tej wizytacji nauka pedagogji i dydaktyki nie miała żadnego udziału, ale gdzieś w kącie stała zasmucona, że z niej sobie żarty stroją.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ TRZECIA.

Emigrant i wygnaniec.

X.

Mogli to czynić inni, wolno i nam, zajrzyjmy więc na chwilę do mieszkania hrabiego Artura.

Jest to już dobrze pod jesień 1864 roku, dzień chłodny ale pogoda piękna.

Przed nami zmierza ku ulicy Moszczyńskiego jakaś zakwefiona i w futro z długim białem włosem ubrana kobieta. W ręku trzyma karteczkę, na którą od czasu do czasu rzuca okiem, a potem ogląda się po rogach ulic i odczytuje ich nazwiska. Świadomsi miejscowych zwyczajów zgadliby zaraz, że ta pani za niewielką przepisaną opłatą otrzymała z policji czyjś adres, i że poszukuje tego adresu. Futro jej i wyglądający z pod niego długi tren sukni, materjalnej wprawdzie, ale dobrze już zużytej, świadczą również dla świadomych miejscowego obyczaju, że pani ta nie jest miejscową i z dalekich przybyła stron. Futra w ogóle rzadko używane są w Dreznie, a zamiatanie ulic trenami sukni praktykuje się tylko jako fenomenalny wyjątek na wykwintnych promenadach, w dni uroczyste.

Ruch tej pani żywy, lekki, prawie młodzieńczy, co trochę kontrastuje z postacią, o ile bowiem dojrzeć można z pod welonu, nie wygląda ona bardzo młodo.

Zatrzymała się przed domem, w którym mieszkał hrabia Artur, sprawdziła numer, kiwnęła głową, uderzyła ręką w kartkę, jak gdyby mówiła „nareszcie," pobiegła na schody, i wkrótce potem znalazła się przed znaną nam już tablicą porcelanową.

— Wystawić sobie — rzekła półgłosem po polsku, wpatrując się w napis na tablicy — wystawić sobie, to jego naprawdę hrabią zrobili... marszałek nie żartował i nie zmyślał... Słusznie!... słusznie!... należało mu się to dawno... salonowy, europejski człowiek... nie był hrabią, nie śniło się o tem jeszcze nikomu, a ja już wtenczas zawsze mówiłam, że on na hrabiego wygląda.

Zadzwoniła. Fritz Hahn ukazał swe kamerdynerskie oblicze.

— Pan hrabia w domu?

— *Verstehe kein Wort polnisch* — odparł rodowity Niemiec uświęconą zwyczajem swoim formułą.

— Otóż masz! znów *ferszte kaj wort!* — zawołała kobieta — gdzie się obrócić wszędzie *ferszte kaj wort!...* a cóż ja pocznę nieszczęśliwa, kiedy znowu ja po waszemu *ferszte kaj wort!* Mój kochany panie Niemcze, powiedz mi pan tylko czy hrabia w domu... ja więcej nie chcę...

Nie pomogła ta apostrofa, której towarzyszył gest uprzejmy. Fritz Hahn wzruszeniem ramion dał do zrozumienia, że tego wcale nie rozumie. Próbka dogadania się po francusku także nie doprowadziła do niczego, wydobycie z kieszonki i wręczenie lokajowi biletu wizytowego również nie nawiele się przydało. dopiero gdy zakwefiona dama wyszukała w torebce dwuzłotówkę i wsunęła ją w dłoń Argusa, strzegącego przystępu do pana grafa, Fritz Hahn uległ wymowie uniwersalnego języka monety i wpuścił panią w futrze do przedpokoju, poczem uchyliwszy drzwi do apartamentu, zameldował wizytę hrabiemu.

— Proś — rzekł pan Artur po polsku na niemieckie oznajmienie swojego sługi.

Był to zapewne ten „kein Wort," który Fritz Hahn rozumiał, bo nie kazał sobie tłumaczyć tego na swój język rodzinny, lecz powrócił do przedpokoju i gestem wskazał damie, żeby weszła do apartamentu.

Dama, białe jej futro, suknia z powłóczystym trenem i gęsty welon, wszystko to razem ukazało się po chwili w salonie pana Artura, który siedział na szezlągu paląc papierosa, i zawahał się na widok nieznajomej, czy ma się podnieść czy też przyjmować ją siedzący, ażeby swej niedawno nabytej godności hrabskiej nie ubliżyć.

— Nareszcie dostałam się do pana hrabiego — zawołała dama, zwolna podnosząc welon — alem się też nachodziła bo nachodziła... Wyobraź sobie, hrabio, w tem Dreźnie z nikim ani się dogadać!... Okropność!... Nawet pański lokaj!... — *Quelle idée d'avoir un domestique qui ne parle pas français!...* Ale doskonale hrabia wyglądasz!.. bohaterska służba w szeregach narodowych nie zaszkodziła zdrowiu...

Głos i twarz oznajmiły hrabiemu, kogo miał przyjemność przyjmować. Powstał z szezlągu, wskazał damie miejsce i rzekł:

— Pani szambelanowa! a to doprawdy niespodziewana wizyta... Cóż panią sprowadziło do Drezna?...

W tonie jakim były wypowiedziane te wyrazy nie znać było wielkiego zadowolenia. Snać przypomniała się hrabiemu rola dziewicy orleańskiej, którą w tragedji jego życia tak niepotrzebnie i tak niefortunnie odegrała, odwidzając go obecnie ciocia Giefia!...

— Co sprowadza? — powtórzyła wdówka — naturalnie nieszczęście!... a tego nieszczęścia pan panie hrabio jesteś sprawcą!

— Ja! — zawołał pan Artur wzruszając ramionami — czemże ja mógłbym...

Tu przerwał sobie i skrzywił się dość widocznie. Przyszło mu na myśl, że rząd moskiewski mógł się przyczepić do biednej szambelanowej, za to że niegdyś uzbroiła się w pancerz i hełm i wzięła miecz w prawicę, ażeby walczyć przeciw temu rządowi, jako zastępczyni pewnego zbyt delikatnie wychowanego marszałkowskiego syna. Przypomnienie tej historji zdawało się teraz panu Arturowi prawie nieuniknionem, słowa szambelanowej o jego bohaterstwie były do tego niby wstępem, a hrabia Artur nie taił przed sobą, że przypomnienie szczegółów owego wypadku nie byłoby dla niego w tej chwili i w tem miejscu przyjemne.

— Tak, panie hrabio — mówiła dalej szambelanowa — pan jesteś sprawcą mego nieszczęścia i wiesz najlepiej coś zrobił.

— Ależ daję pani słowo, że nie wiem nic... wytłumacz się pani jaśniej...

— Naturalnie, żeś hrabia mógł nie wiedzieć ile mi złego narobiłeś... mogłeś sądzić, że sobie pojadę do swojego majątku... i ja sama tak myślałam... ale wyobraź hrabia sobie... *imaginez-vous*, rząd skonfiskował mi moją majętność!...

Czytelnicy nasi wiedzą jaka to była majętność i że rząd, jeżeli ją skonfiskował rzeczywiście, to się nią nie bardzo obłowił...

— To jest nie skonfiskował — dodała po chwili — ale nałożył tyle kontrybucji, żem wolała oddać wszystko niż płacić... pojmujesz pan, że w takiem położeniu pańskie rozporządzenie stawiało mnie w sytuacji rozpacznej... nie mam teraz własnego kąta...

— Ależ pani — rzekł trochę niedyplomatycznie dyplomata — powtarzam że nie wiem o żadnem rozporządzeniu, powiedz pani wyraźnie o co chodzi.

— A to szczególne! — rozśmiała się ciocia Giefia — więc to chyba pan marszałek na pana hrabiego złożył wszystko, lecz w takim razie dobrze, żem tutaj przyjechała, bo tutaj znajdę sprawiedliwość... Hrabia nie będziesz chciał mojej krzywdy,

pamiętasz przecie, że z zapomnieniem o mojej płci, chciałem się poświęcić...

— Pamiętam, pamiętam... nigdy nie zapomnę... — zagadał szybko hrabia Artur — lecz skończże pani raz... o co chodzi?...

Cioci Giefi myśl jakaś przelotna zabiegła do głowy. Była poważną, mówiła o jakiemś nieszczęściu, teraz twarz jej się rozjaśniła, na ustach zabłąkał się śmiech pusty.

— Panie hrabio... — rzekła zmieniając przedmiot rozmowy — powiedz mi pan co to znaczy *weisse Bär?*

— Cóż to może mieć do rzeczy?...

— Nic! nic!... ale powiedz mi hrabia co to znaczy, bo umrę z ciekawości.

— *Weisse Bär* znaczy biały niedźwiedź.

Ciocia Giefia zerwała się z krzesła i klasnęła w ręce.

— Ależ to wyborne! paradne! znakomite! — zawołała cieszac się jak dziecko i chodząc szybko po pokoju, przyczem tren jej sukni z szelestem zamiatał froterowaną posadzkę. — Biały niedźwiedź!... Wyobraź sobie hrabio, *imaginez-vous,* tutaj w Dreźnie gdy przechodzę ulicą, chłopaki pokazują mnie palcami i wołają *weisse Bär, weisse Bär!*

Były kamerjunker zniecierpliwiony wzruszył ramionami.

— Nie musiało panią spotkać wielkie nieszczęście — rzekł — kiedy się pani możesz cieszyć taką drobnostką.

Ciocia Gefia zatrzymała się przed nim, stanęła w postawie tragicznej i zawołała patetycznie:

— Niewielkie nieszczęście, powiadasz hrabia! nie wielkie nieszczęście!... A godziło się to, panie hrabio, mnie, któram dla pana gotowa się była poświęcić...

Pan Artur machnął ręką.

— Zapomnieć o mojej płci... — prawiła dalej szambelanowa — mnie, której właśnie skonfiskowano majątek, godziło się to, żebyś hrabia, człowiek salonowy i europejski, żebyś hrabia w takich okolicznościach kazał wyrzucić mnie z Zaskala jak tego psa...

— Ja, pani szambelanowo?...

— Tak... pan... marszałek powiedział mi wyraźnie, że to pan, że panu oddał cały zarząd tego majątku i że pan chcesz żebym się zaraz wyprowadzała... A kiedym zaczęła przedstawiać że to przecież nie wasz majątek tylko mojej Kostuni, to wiesz hrabio co mi powiedział?...

— Domyślam się mniej więcej...

— Ależ zkąd?.. nigdybyś się hrabio takiej okropności nie domyślił... powiedział mi, że o niczem podobnem nie wie, że wie tylko żeście Zaskele za gotówkę kupili.

— Bo też i ja nie wiem — przerwał pan Artur — zkąd pani przyszło do głowy że ja i mój ojciec chcielibyśmy mieć w posiadaniu majętność, gdyby ona do nas nie należała, i że chcielibyśmy być ekonomami jakiejś tam pani garbarzowej...

Ciocia Giefia zamilkła, jak gdyby oniemiała nagle. Nie mogło się to co słyszała pomieścić odrazu w jej głowie.

— Jeżeli mój ojciec — mówił dalej pan Artur — radził pani wyjechać z Zaskala, to widać miał do tego powody i prawo. Ja woli jego zmieniać nie mogę i nie chcę. Być może że się zasłonił mną, ażeby pani otwarcie prawdę powiedzieć, bo ja co do pani żadnych nie robiłem rozporządzeń, ale w każdym razie zmuszony jestem uznać to co zrobionem zostało, i nic więcej nie mam do powiedzenia.

To powiedziawszy pan Artur poprawił się w szezlongu i zaczął sobie kręcić papierosa z miną najobojętniejszą w świecie.

Przez długą chwilę szambelanowa stała przed nim i patrzyła na niego w milczeniu. Zdawało się że chce mówić i że głosu z piersi dobyć nie może. Nareszcie przemogła się i zawołała:

— To tak!... to tak!... miałam dla kogo chcieć się poświęcać!...

Na nową wzmiankę o poświęceniu pan Artur drgnął i mimowolnie gniewnym ruchem potargał niedokręconego papierosa. Potem odrzuciwszy na stół tytuń i bibułki, podniósł się z szezlongu i stanąwszy przed ciocią Giefią, rzekł:

— Proszę panią... dosyć tych żartów... o jakiem poświęceniu pani mówisz?... ja o żadnem nie wiem!...

— Chciałam pana zastąpić, uzbroić się i iść do obozu, pod warunkiem że pana uwolnią...

— Marzysz pani!... nic podobnego nigdy nie było.

— Marzę!... nigdy nie było!... Najpiękniejszy dzień mego życia nigdy nie był!— jęknęła szambelanowa załamując ręce.

— Śnił się pani może... trzeba się z tego snu przebudzić...

— Budzisz mnie pan w bardzo czarnym kolorze, panie hrabio.

— Nie gram z panią w grę towarzyską, mówię serjo... trzeba się rozbudzić i z innych snów... Żona pana Wydry nie ma obecnie nic... Zaskale jest naszą własnością... rozumiesz pani, naszą... Żona pana Wydry nie może pani dać przytułku, chyba w garbarni... Co innego my, ale nie z obowiązku, pamiętaj pani... nie z obowiązku... Jeżeli pani chcesz zapomnieć o jakichś tam niedorzecznych poświęceniach, których nigdy nie było, a przypomnieć sobie to co było i co się działo w obecności pani... to jest żeś pani była przy tem jak rotmistrz sprzedawał nam Zaskale i jak mu gotówką płaciliśmy, to będziemy pamiętali o pani potrzebach. Póki się pani co innego marzy, proszę mnie nie nachodzić.

To powiedziawszy pan Artur odwrócił się i wyszedł z pokoju, zostawiając szambelanowę samą.

— Gotówką płaciliśmy... pamiętali o potrzebach — powtarzała ciocia Giefia po jego odejściu, a po chwili dodała: — albo ja teraz wiem sama co było a co nie było?

Wzruszyła ramionami i wyszła.

W przedpokoju czekał Fritz Hahn. Ukłoniła mu się grzecznie, posłała całusa od ust i rzekła:

— *Ferszte kaj Wort, weisse Bär!*

Potem wyszła na ulicę. Tym razem nie patrzyła gdzie idzie. Znalazła się też wkrótce na jednym z skwerów drezdeńskich, na którym bawiły się dzieci.

Kiwnęła ręką na jedno z nich, przybliżyło się do niej.

— Ja *weisse Bär!* — rzekła do niego — *weisse Bär,* ja?

— *Weisse Bär!* — odpowiedział chłopczyk śmiejąc się i zaczął coś jeszcze mówić po niemiecku, czego już nie rozumiała i nie słuchała.

Nieopodal była ławka, usiadła na niej i przez czas długi bawiła się wołaniem przechodzących dzieci i zapytywaniem ich podobnież o białego niedźwiedzia.

Poplątało się coś chwilowo w umyśle biednej cioci Giefi na zapewnienie hrabiego, że najpiękniejszy dzień w jej życiu był snem tylko.

Zmierzchać się już zaczynało, gdy na drugim końcu ławek usiadł jakiś dobrze szpakowaty mężczyzna.

Siadając rzekł kilka słów przeproszenia dosyć niezrozumiale i niewyraźnie.

— *Ferszte kaj Wort, weisse Bär!* — odpowiedziała ciocia Giefia.

Sąsiad ani się uśmiechnął na tę oryginalną odpowiedź, jakby jej także nie rozumiał, ale pilnie i coraz pilniej wpatrywał się w szambelanowę.

Nareszcie po dość długiem milczeniu i przyglądaniu się zawołał po polsku:

— Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli się mylę, to pani szambelanowa!

Ciocia Giefia odwróciła się i spojrzała na niego szybko.

— *Imaginez-vous,* pan Bartłomiej!... a to spotkanie!...

— Góra z górą, pani szambelanowo dobrodziejko, spotykamy się na tułaczce i wszystko poszło nie tak jak marzyliśmy... Cóż robić!...

— A mnie tu wszystkie dzieciaki nazywają *weisse Bär,* dlatego że chodzę w futrze... to zabawne!...

— W istocie, — wzruszył ramionami pan Bartłomiej — i dawno pani dobrodziejka z Zaskala?...

— Niedawno...

— No, i gniewa się pani jeszcze na mnie za moje obejście się owego dnia?...

— Kiedym się ubrała po wojennemu i chciała iść do powstania za pana Artura?

— Tak... gniewasz się pani jeszcze?

— A o cóżby?... o sen?...

— Jakto o sen?

— No, bo przecież to sen był tylko— powtórzyła ciocia Giefia.

Zahajpolski spojrzał na nią tak jak się patrzy na osobę nie mającą w porządku zmysłów...

— Tak przynajmniej hrabia Artur powiada — dodała ciocia Giefia z westchnieniem.

— Jaki hrabia Artur?

— Szóstacki...

— To on hrabia?...

— A jakże... ma lokaja *ferszte kaj Wort...* mieszka na tej ulicy co się po polsku nazywa... powiada, że oni Zaskale za gotówkę kupili, że płacili przy mnie, że marszałek słusznie zrobił, że ztamtąd wypędził mnie... i że wszystko zresztą mnie się śniło. *Ferszte kaj Wort, weisse Bär!*

Pan Bartłomiej słuchał ciekawie. Wysłuchawszy zamilkł i zamyślił się. Ciocia Giefia nie zważała na niego, bawiła się z dziećmi.

*

Po kilku minutach Zahajpolski splunął energicznie:

— Tfu, szelmy!.. — rzekł.

Ukłonił się szambelanowej i odszedł.

(C. d. n.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Ze zbiegu tych wszystkich czynników dramatycznych, któreśmy poznali, łatwo przewidzieć, że nasamprzód zapali się walka z Niemcami. Przekroczyli oni już Odrę, aby dalej pomknąć na wschód. Tu też niedaleko tej rzeki spotykają się w nimi Popielowe wojska, w których liczbie są także Zaodrzanie pod wodzą Żórawia. Wśród wrzącego boju, którego szczęście na szalę Polan widocznie się przechyla, wprowadza poeta jako ważne działające motory zawistnych królowi stryjów. Przybyło ich pięciu wraz z rycerstwem, ale nie stanęli do bitwy; ukrywszy w krzakach swoje hufy, czekają stanowczego obrotu rzeczy. Przyrzekli wprawdzie Niemcom połączyć się z nimi i uderzyć wspólnie na Popiela; ale uczynią to dopiero wtenczas, kiedy Niemcy górę nad nim mieć będą. Jeśliby zaś Popiel stanowczo zwyciężał, wtedy wywiódłszy wojska swe z ukrycia przyłączą się doń, jak gdyby szli na nieprzyjaciela. Plan ten haniebny uknuł jeden ze stryjów, Zbigniew, dążący do władzy królewskiej, charakter najprzewrotniejszy, dla którego każdy środek był dobry, byle tylko prowadził do celu — nawet sojusz z wrogami. Ażeby zaś tem pewniej pozbyć się mógł nienawistnego bratanka, umyślił nasłać nań zdradziecko skryto bójcę, i do tej roli wybrał rycerza Czorcza, Sasa służącego pod jego chorogwią.

Tymczasem na scenie zjawia się Harten jeden z wodzów niemieckich. Szuka on Zbigniwa i stryjów, ale wnet poznaje, że jest przez nich zdradzony. Przybywa także i Popiel. a ujrzawszy go przypada nań wołając:

Hartenie! tchórzu językiem zuchwały,
Proś łaski trupie przed skonaniem biały.

Harten w odpowiedzi wskazuje na miecz swój, ale Popiel miecz wytrąca mu z ręki, a jego samego rozkazuje odprowadzić na ofiarę bogom. Skazany na śmierć odkrywa, że stryjowie byli z nim w zmowie, co usłyszawszy Popiel zemstą się zapala.

— — — — — — Niech pęka
Słaby krwi węzeł, co mi wiązał dłonie!
Żona mówiła, nie wierzyłem żonie;
Przeczuciu serca mówiłem, że kłamie —
Lecz poczujecie wy Popiela ramię!...

Gdy wojewoda Mirosz radzi winnych osądzić wiecem, żżyma się król. „Ja wiec!" mówi w gniewie do Mirosza. I byłoby już może w tej chwili z tego powodu przyszło do zajść gwałtowniejszych, gdyby nie przybycie trzech innych stryjów nie będących w sojuszu z Niemcami, którzy szczerze radzi królowi przyszli mu z pomocą, a tylko pół dnia się spóźnili. Ale Popiel nie wiedział, że ci trzej są niewinni; więc traktuje ich jak zdrajców porówno z tamtymi.

Mógł Popiel (*mówi*)—ha! tak, ten dumny, zuchwały,
Stojący na kształt granitowej skały
Śród waszych knowań — ten wilk na lękliwych,
Ten bies trapiący sny u podejrzliwych,
To słońce w zdrady patrzące surowo
Ten zawieszony grom nad podłych głową —
To wszystko, bo! tak, daliby bogowie!
Mogło się zachwiać w tej jednej połowie
Dnia, albo smętnym trupem ledz na tarczy...

Wielka siła maluje się w tych wyrazach. Bohatyr dramatu dąży energicznie i bezwzględnie do przełamania wszelkich trudności, jakie tylko stanąć mu mogą na zawadzie. Energja ta jeszcze bardziej widoczna w rozkazie danym rycerstwu ścigania obrażonych stryjów, grożących Popielowi krwawą rozprawą w Kruszwicy. Nadaremnie przekłada Mirosz, że gdyby go w tem usłuchał, natenczas „rody i plemiona" opuściłyby Popiela; nadaremnie winnych do wiecu odsyła. Nieustraszonego obrońcę praw ludu król w zapalczywości swej mieczem przebija. Mirosz kona szlachetnie,

O! niech ci krew ta mścicielów nie budzi!

mówi pełen miłości, przebaczając Popielowi.

Dokonana zbrodnia na zupełnie niewinnym sprowadza stanowczy zwrot w akcyj dramatycznej. Śród dalszej walki z Niemcami król postępuje wprawdzie zwycięsko naprzód i wypiera nieprzyjaciela za Odrę. ale pamięć krwawego czynu, której nic zatrzeć nie zdoła, nie daje mu spokoju. Ten rozstrój psychiczny, to okropne potarganie szlachetnej z gruntu natury okazuje się w pięknie przeprowadzonym monologu (scena 8) w którym bohatyr na próżno usiłuje zbrodniczy swój czyn usprawiedliwić w obec własnego sumienia. Walka człowieka z sobą trwa krótko, a w Popielu budzi się rychło samowładca z ową wielką ideą, która przewodniczy jego działaniu.

Wy chcecie ze mnie mieć martwego boga,
Cień króla, błahe cacko waszej woli?...
O! jam się zrodził do świetniejszej doli:
Ja chcę! o straszny wasz bóg! — on nie spocznie
Aż wszystkie swoje sam spełni wyrocznie...
Zuchwałych zdepcę; dla łupu i sławy
Zapomni o tem wojownik, żem krwawy.

Ale w tym momencie przychodzi mu na pamięć lud, który choć „mleko ma w żyłach," przecież w stanowczych chwilach straszny jest nakształt „gromowładnego boga;" a chociaż potem znowu do swej ciszy powraca, jednak w łonie gromy ukrywa.

— — Mnie zgrozą ta cisza przenika,
Ona Mirosza co dnia we mnie zbudzi...

Żadną już jednak miarą cofnąć się nie można —

O! straszną duch mój wybrał sobie drogę;
Zajdę — gdzie zajdę! wrócić już nie mogę...

a do dalszych czynów w tym pochodzie

Ja krwawy, krwawych potrzebuję ludzi.

Nasłanego na siebie Czorcza przebija jego własnym mieczem, a gdy Szczerb śmiertelnie ranny za krew Mirosza całego narodu klątwę mu przepowiada, postanawia Popiel teraz nie tylko na stryjów ale i na spokojnych uderzyć kmieci. Od tego zamiaru nie zdoła go odwieść nawet bitwa świetnie wygrana u Odry. Rzecz dziwna! Po złamaniu wrogów otwierał się Popielowym orłom lot aż po Łabę — on jednak teraz mimo najstosowniejszej pory i pomimo danej Zaodrzanom przysięgi wstrzymuje dalszy swój pochód! Błagania Żórawia, aby koniecznie szedł za Odrę, gdzie do trzech dni skończyć się musi wyprawa, a on panować będzie tej ziemi, nie odnoszą skutku. „Nie pora!" odpowiada Popiel, „bo kmieć drwi z mojej woli."

Skrzywienie wysokiego posłannictwa to drugi tragiczny moment, w następstwie swojem wiodący nieodzownie do zguby.

Poeta przenosi nas teraz na błonie wiecowe, gdzie pod chorągwiami swych dzielnic lud się zgromadził. Właśnie jeden wieśniak stary opowiada o cudzie, który przed laty zdarzył się był w chacie Piasta w czasie postrzyżyn jego syna, kiedy ulubieniec bogów sam nadchodzi. Przybyłemu oddają zgodnie przewodnictwo wiecu. Piast czuje to dobrze, iż w takich okolicznościach spokojne obrady krwawo skończyć się mogą; przecież twardo on stać będzie przy tem „co bogi dały" a ziemianom najdroższe.

Trzeba nauczyć ten lud, jak się stoi
Przy prawach, i jak umiera się za nie.

Śród powszechnych okrzyków: „Górą wiecowanie!" zjawia się na scenie Popiel w towarzystwie wojewodów, rycerstwa i Zaodrzan. Piast po staremu przyjmuje go chlebem i miodem i na wiec zaprasza; ale król dary ciska na ziemię, a rycerzom rozkazuje uderzyć na wiecujących. Brona przekłada, że „nigdy krew nie zlała tej świętej błoni;" Żóraw wolałby iść na wiarołomnych stryjów, w końcu przecież ulega woli króla i miecz swój na lud podnosi. Wymierzony cios wstrzymuje Piast, ostrzegajac, że po takim czynie odpadną od Popiela wszystkie plemiona; ten zaś upatrując w tych słowach zdradziecką zmowę ze stryjami, już swoim mieczem zamierza się przeszyć mówiącego, kiedy oto w tej chwili staje przed jego oczyma Ziemowit w ostatniej potrzebie pasowany na rycerza...

...Idź do dom — idź starcze w pokoju;
Twój syn mi życie uratował w boju —
Ależ ja tobie ten dzień płacę drogo!

Teraz otwiera Piast królowi oczy na sidła, w które go uwikłała własna jego żona. Z jej to poduszczenia wszczęły się rozterki z plemionami, a ich końcem będzie jarzmo, które wróg nań wtłoczy. Popiel jakby na razie jasno pojmował, skąd mu grozi największe niebezpieczeństwo gotów jest w rodzinnem gnieździe do heroicznego „okropnego" czynu, gdy wieść o narodzeniu syna spycha go znowu na poziom dawnych namiętności. „Kiedy bogowie obdarzyli dom mój taką radością, toć dom ten nie może być nieczysty — a Piast kłamie!" Więc złorzecząc przywódcy kmieci uderza nań mieczem, lecz wieszczek odbija cios nożem objatnym. Na nowy rozkaz Popiela:

Tnijcie ich! bogi teraz u mnie w domu!

rzucają się rycerze na kmieci. Lud wśród zamieszania unosi Piasta. Koniec aktu drugiego.

Kiedy się to dzieje, Bożennę i Kalinę spotykamy w chacie Piastowej gośćmi na wieczornicy. Starej królowej lepiej tutaj niż w zamku, odkąd syn jej „się zbiesił." Z powodu trwającego wiecu wszystkim trwożno o Piasta, a królowa matka i siostra rzucają swoje bursztyny bogom

na ofiarę, aby szczęśliwie powrócił. Następuje śliczna scena między Zimowitem a Kaliną. Z tęsknotą oczekiwany Piast przybywa wreszcie ale za nim zjawia się i pogoń, która ma go uwięzić i zawieść do grodu. Świergonia widzącego zbrojnych uderza Bożenna kądzielą w głowę i wypędza z chaty, a Piastowi przyrzeka wyjednać u syna bezpieczeństwo. Po odejściu królowej i Kaliny szle Piast Ziemowita do kmieci stojących nad Wisłą. Każe mu pilnie „strzedz swego sumienia“ przed Zbigniewem, podczas walki króla ze stryjami stać spokojnie, lecz gdyby się pojawił nieprzyjaciel, stanąć w obronie Popiela.

Po tem wszystkiem scena przenosi się do zamku. Adela z przyczyny groźnej postawy ludu w śmiertelnej o siebie i dziecię zostając trwodze błaga męża, aby na teraz zaniechał wyprawy na stryjów. Gdy prośby jej skutku nie odnoszą, klęka przed Bożenną i zaklina ją, aby ona u syna to wyjednała. Królowa matka nie chce wojny bratobójczej, ale zaciekły Popiel nie zna zgody ze stryjami. Do uległości — dziwnej zaiste ze względu na naturę naszego bohatyra— skłania go dopiero groźba Bożenny, iż ona w razie jego uporu oskarży go przed ludem o zaprzanie się starych bogów!... Takim więc sposobem walka ze stryjami zaniechana, a oni sami otrzymują nawet zaproszenie na uczestników uroczystości w Popielowym domu, by poczcić urodziny królewica... (C. d. n.)

Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

CZESŁAW PIENIĄŻEK.

(*Ciąg dalszy.*)

VI.

(*Wzrost towiańszczyzny. — Działalność Zmartwychwstańców.— Entuzjazm Mickiewicza dla „Sprawy“. — Korespondencja. — „Biesiada“. — Ks. Semeneńko i Towiański.*)

Mimo wydalenia się Towiańskiego, zawiązana w Paryżu sekta nie upada, owszem — wzmacnia się, rozwija i w ciągłych z Towiańskim pozostaje stosunkach. Nie zbywało na różnych wydarzeniach, wypływających z marzycielstwa Towiańczyków, a często niedorzecznych i w najwyższym stopniu rozum ludzki kompromitujących. I tak: pewnego razu jeden z emigracji, ukląkł po nabożeństwie przed księciem Czartoryskim i odczytał do niego mowę, utrzymując — że mu ją Pan Bóg napisać kazał.

Duchowieństwo coraz więcej zaniepokojone, wstąpiło w akcję zaczepną. Ks. Aleksander Jełowicki ogłosił drukiem pismo Towiańskiego dla jenerała Skrzyneckiego w r. 1841 zredagowane, a obejmujące treść całej doktryny. Ogłosił je zaś w tym celu, aby na jaw wyprowadzić całą istotę głoszonej nauki i zmusić Towiańskiego do dyskusji, której zawzięcie unikał.

„Prawidłem jego (Towiańskiego) jest nigdy z nikim nie rozprawiać. Kto żąda od niego rady, znajdzie ją, kto chce spierać się, nie ma potrzeby widzieć jego...“

czytamy w liście Mickiewicza do ks. Jełowickiego z dnia 25 lutego 1842. *)

*) Korespondencje A. Mickiewicza. Paryż 1870. T. I. str. 185.

Pismo Towiańskiego, zatytułowane „*Biesiada, pismo 17 stycznia 1841*“ później w odmiennej ukazało się redakcji p. t. „*Biesiada z bratem Karolem*“ (Różyckim), ale już i za wiedzą i wolą samego Towiańskiego w r. 1845 wydane.

Przez ukazanie się pierwszej edycji „Biesiady,“ zyskało duchowieństwo podstawę działania i gotowy i skupiony materjał doktryny, z którym walczyć postanowiło. Towiańczycy nie akceptowali tej edycji utrzymując — że wydana wbrew wiedzy i woli autora, nie jest zupełną, dokładną; jako nie przeznaczona do ogólnego użytku, jeno do wiadomości jednego człowieka t. j. jenerała Skrzyneckiego. Gdy poznamy osnowę i zasady onego dzieła, istotnie trudnoby nam było wyrozumieć, że tak wielką przykładano wagę do ścieku zwrotów alegorycznych, bałamutnych fantazji, które wcale nieśmiało przybierały znamię twierdzeń dogmatycznych — gdybyśmy nie pamiętali, że w odwodzie stał im genjusz Mickiewicza na katedrze akademickiej i że tu przeważnie w tej walce o Mickiewicza chodziło, aby go cofnąć z drogi propagandy. Zasady Towiańskiego w ustach i w piórze Mickiewicza rozrosły się w rzecz wydającą się filozoficznie ugruntowaną, — bo je opłomienił gorącą wiarą, a genjuszem swym przetapiał w sprawę logiczną, w historji i filozofji uzasadnienie mającą. Czytając prelekcje i korespondencje Mickiewicza ówczesne, czuje się jakieś dziwne oczarowanie, jakiś zagadkowy popęd do przyjęcia wszystkiego niemal za swoje, co mówi i pisze poeta. A dodać trzeba, że doktryna szerzyła się w imię patrjotyzmu, bo ją przyniósł „duch wyższy,“ co przyszedł „kamień grobowy odwalać“ — i już „naród rusza się,“ — jak pisze Mickiewicz do j. Skrzyneckiego — i dlatego też „kto przeciwko tej sprawie stanie, większą weźmie odpowiedzialność, cięższą odpowiedzialność, niźli ciężar całej ziemi polskiej“ *).

Wielką była dusza, wielkie serce u Mickiewicza i wielką też miłość ojczyzny i ludzkości. Jeżeli widzimy najdroższą nam osobę opuszczoną przez lekarzy, przez nich już na śmierć skazaną, czyż nie damy posłuchu i wiary, choćby czarodziejskiemu zaklęciu znachora, aby jeno kłam zadać wyrokom lekarzy? Czyż wtenczas nie będziemy się starali rozumem pomagać wierze w znachora? A im większa w nas miłość do onej chorej, tem większa skłonność do wiary nawet w gusła, byle tylko widok trumny z przed oka oddalić. Tem się da wytłumaczyć zapał Mickiewicza dla „sprawy“ Towiańskiego.

To też i ks. Duński, który później gorliwym Towiańskiego został zwolennikiem **), — i ks. Kajsiewicz i ks. Semeneńko, zjeżdżają z Rzymu jeden po drugim, i występując do walki z Towiańskim, głównie Mickiewicza mieli na uwadze. Najlepszym wyrazem tego, jak na Mickiewiczu zależało w tej sprawie gorliwym zwłaszcza katolikom, jest wymieniona broszura Witwickiego, jak wiadomo — jednego z serdecznych Mickiewicza przyjaciół. To też Witwicki powiada zaraz na wstępie:

„Nie mogę bez odrazy i ścieśnienia serca o tej rzeczy pisać, tak przez się jest fatalną i w następstwach swoich zgubną,“

a jednak mimo odrazy tej pisze sądząc, że słowa jego odbiją się w duszy Adama, i zwraca się do niego serdecznie, jakby chciał dać do zrozumienia, że „jeżeli gryzę, to sercem gryzę.“

Listy Witwickiego w owych czasach do Mickiewicza pisane, uzupełniają tę broszurę, a świadczą o wielkim jego żalu za przyjacielem. Widząc, że Mickiewicz nie daje mu posłuchu, rozdartem prawdziwie sercem żegna go 1. marca 1843 r., zrywając z nim dalsze przyjaźni stosunki.

„Żegnam cię i nim odtąd stanę się dla ciebie, jak chcesz koniecznie, obcy zupełnie, pozwól, że cię raz jeszcze z serca całego i z płaczem całuję“ *).

Toczyła się też w tym sensie korespondencja Skrzyneckiego z Mickiewiczem, z której przytoczyliśmy ustępy listu Mickiewicza w marcu 1842 r. pisanego. Jenerał wszelkiemi siłami starał się odciągnąć Mickiewicza od sekty i odebrać mu wiarę w Towiańskiego, ale usiłowania te były zupełnie bezskuteczne. Jenerał domagał się w listach, aby Towiański, jeżeli chce ulegalizować swą misję reformatorską w religji, sprawiał ją w porozumieniu z Rzymem, a Mickiewicza zaklina, aby mając siłę potężną w narodzie, będąc „człowiekiem wielkiego wpływu dla ojczyzny,“ mogąc ją zwichnąć z dobrej drogi i niezmiernie pomódz, zachował dla niej swój genjusz niepokalany“ **).

Poznaliśmy już z poprzednio przytoczonych wyjątków korespondencji Mickiewicza ze Skrzyneckim, z jaką wiarą w posłannictwo „mistrza“ odzywał się w odpowiedzi na te przyjacielskie upomnienia, a teraz rozpatrzymy się w „Biesiadzie.“

Niesłychana trudność nasunąć się musi każdemu zapewne, kto przeczytawszy to pismo, bądź w pierwszej, bądź w drugiej jego redakcji, zapragnie zdać sobie sprawę z osnowy, wyrozumieć ją odrazu i poznać dogmatyczne jej pierwiastki. Sama już forma, układ zewnętrzny, język — bałamucą niezręcznością swoją i gmatwaniną wyrazów, często porąbanych w zdania i zwroty do pojęcia trudne, a zdradzające zupełną nieudolność autora w rozwijaniu myśli. Dodajmy do tego zupełny brak klasyfikacji materjału, a nie będzie wcale dziwnem, że prawdziwie przymusić się potrzeba, aby chcąc dociec wszystkiego, po raz drugi wziąć tę publikację do ręki.

Przedewszystkiem uderza w „Biesiadzie“ zasada, że cała jej nauka jest objawieniem Bożem, i że jako taka ma najzupełniejszą, bezwzględną wyższość nad wszystkiem, co z myśli ludzkiej pochodzi, nad wszelką filozofją, wiedzą, umiejętnością. Jest więc absolutną prawdą — a jako taka, stawia dogmaty wiary, według której: nieprzejrzane chmury duchów zalewają glob ziemski; człowiek zaś, jest ostatnią pochwą, ostatnim punktem widzialnym, przez który za-

*) Korespondencje A. Mickiewicza. T. I. str. 191—2.

**) W r. 1849 zjechał się ks. Edward Duński z Towiańskim w Awinjonie i odtąd z przeciwnika, stał się najgorliwszym wyznawcą i obrońcą Towiańskiego. Bronił go przed władzami kościelnemi, popierał wszędzie, mieszkał z nim razem około roku 1850 w Zurich w Szwajcarji. Z ks. Semeneńką zaciętą toczył polemikę w obronie „Mistrza“ i „Sprawy.“ Cały ten stosunek ks. D. do towiańszczyzny, omawia broszura przez pułkownika Różyckiego, po śmierci ks. D. († 1857 w Paryżu) wydana: „*Duński prêtre zélé et zélé serviteur de l'oeuvre de Dieu. Paris 1857.*“ Broszura ta, przełożona na język włoski, ogromne w północnych Włoszech wywarła wrażenie i wzmocniła towiańszczyznę, która też między 1850—60 r. licznych tamże zyskała zwolenników.

*) Korespondencje A. Mickiewicza. Paryż 1872. T. II. str. 206.

**) Kor. A. M. T. I. str. 191 (List Skrzyneckiego z 12. kwietnia 1842.)

stępy duchów niewidzialnie działają. Duchy wcielają się w różne żywoty, przechodząc przez różne stopnie ich doskonałości, śród których oczyszczają się z ciemności swej, rozjaśniają, aż dopokąd nie staną się duchami białymi. Po tych ostatnich przechodzą od zwierzęcości do człowieczeństwa i do nowej duchowości i potem

„nie mogę już dla swej wysokości w żadnem sklepieniu ziemskiem przebywać, i od tego gatunku operacji są wolne — przeciągają tylko dalszą operację w stanie Ducha, w stanie Wolności — i życia.“

Ziemia jest padołem grzechu, bo same niższe duchy, a ztąd pokusy zalegają jej powierzchnię. Bóg broniący najświętszej harmonji, zesłał Jezusa Chrystusa ze światłem Boskiem, a Chrystus pokonał kolumny niskich duchów

„przez Swą pochwę, przez swój punkt ziemski działające“

tak, że ustąpiły z tych, na których światło nauki Chrystusa spłynęło.

„Berło Piekłu wydartem zostało, a najświętsza Panna narzędzie ważne w sprawie Miłości Pana, głowę węża starła.“

To światło zagasło w ludzkości; kolumny duchów ciemnych ponownie ją opanowały, więc Bóg w miłosierdziu swem nowe zsyła światło, aby światło Chrystusa oczyściło i wzmocniło, a kolumny ciemnych duchów osłabły. A kiedy Bóg na ziemię siódmego zeszle posłańca, rozpali się to światło takim ogniem, że złe na ziemi zniknie, przepadnie zupełnie. Należy światło w nas zasiane rozpalać „do stanu ognia gwiazd“ a to przez modlitwy, wewnętrzne prace ducha itd.

„Człowiek ma wolę, ale ona jest cząstką nieskończenie małą jego czynności...“ „zastępy światłości lub ciemności ustępują i czekają na kierunek, jaki człowiek sam sobie postawiony zupełnie wolny dać musi — a po zrobionym kierunku na światło lub ciemno, kolumny światłości lub ciemności mocą prawa harmonji, zalegają wnętrze człowieka i podług swej natury rządzą nim.“

Człowiek może być „oddanym pod moc złego“ a taki nieszczęśliwy „traci wolę.“

Każdy z owych 7 posłanników, powinien mieć duszę tak czystą i gorejącą, aby siłą światłej swojej kolumny, spuszczającej się w skutek pracy jego wewnętrznej, mógł całe „wysilenie złego odpierając zwyciężyć.“ Na niego, jako na punkt najważniejszy, wywrze piekło całą swoją potęgę, a utrzymanie stanu świętości w tych pokusach jest krzyżem nowego zakonu.

Kilka światłych kolumn łączy się w jednę światłą atmosferę, przed którą pierzchają złe duchy. Chrystus jest ojcem ziemi, jest pniem boskiego drzewa na ziemi, o 7 gałązkach.“

„Jak wszystkie w swoim czasie gałęzie (tj. owych siedmiu zesłańców nieba) zazielenieją wtenczas podług słów objawienia, obłok siedmiu duchów pod naczelnictwem ojca swego, tego pnia drzewa boskiego, zleje się do łona Ojca powszechnego i to drzewo szczególne przyłączy się do drzewa ogólnego miłości — podług słów objawienia.

Będzie więc wtenczas dopiero prawdziwie Boże panowanie na ziemi, a więc i absolutna sprawiedliwość wtenczas dopiero zapanuje we wszystkich stosunkach ludzkości. Obecnie zaś kierunek dany ludom i niesprawiedliwości, jakich doznają na ziemi, wszystkie niedole narodów, pochodzą z mocy ciemnych duchów, które ciemną kolumną na kierownik spraw ludzkich spłynęły i w nich sobie obrały siedzibę. Światła kolumna nie miała dotąd panowania na ziemi, władza i kierunek spraw publicznych, były przy ciemnych duchach. Mąż (Towiański) przez proroka (t. j. Mickiewicza) widziany, otrzymał rozkaz odebrania władzy duchowi ciemności i oddania jej światłej kolumnie; ztąd też nastąpi panowanie światła, prawdy i miłości. Stanie się to atoli, na niektórych tylko punktach ziemi, przygotowanych na zstąpienie światła (tj. we Francji i w Polsce) inne pozostaną w zmroku, lub w zupełnej ciemności. Francja będzie tym pierwszym punktem światłym, bo Napoleon był przedostatnim w tej świętej kolumnie.

„Ty o duchu Napoleona szczególniejszym przywilejem jesteś przedostatnim w tej świętej kolumnie, pozwolono Tobie żyć, działać na ziemi nie przestając być duchem czystym, pozwolono łączyć się i wspierać narzędzia Twoje ziemskie, aby naród Twój poznał Ciebie i do Twojego kierunku przyzwyczajony, chciwy jego, aby prowadzony przez Ciebie, spełnił dzieło przez Pana naznaczone.“

Gdy Napoleon naznaczone tu ma przedostatnie miejsce, ostatni stopień tej kolumny z najwyższej woli, przeznaczono Towiańskiemu oznaczyć. On pierwszy na ziemi odebrał rozkaz i razem wolę najwyższą, aby powołanym tajemnice Pana otworzył i do spółki w służbie przyjął.

(C. d. n.)

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

Po strąceniu z tronu w r. 1853 przez rewolucję pałacową, cesarza Paghar-Mheng, następca jego, dzisiejszy Yasa Mendoon-Mheng, doprowadził do skutku myśl swego poprzednika, nabywając sławny ząb Gaudamy, jak to zaraz opiszę.

Kiedym był jeszcze w Bangun, wszedłem z powodu interesów w stosunki z Ma-Calderem, który zawsze pędząc światami, mieszkał na ten czas z ostatnią swoją żoną w tem mieście. Między osobami jakie poznałem u niego, było czterech młodych ludzi, ubranych z europejska, których rysy zwyczaje i język zdradzały pochodzenie portugalsko-ormiańskie. Wobec Ma-Caldera byli z największą atencią, a z czasem dowiedziałem się że to są jego synowie, wychowani przez rodziny swoich matek. W rozmowie powiedzieli mi że wracają z Kalkuty, gdzie zostali wysłani na zakupienie maszyn dla cesarza birmańskiego. W rzeczy samej widziałem później w Mandelay próbki tych komisów, i żaden z artykułów sprowadzonych nie znajdował się w stanie używalnym, co nie przeszkadzało że były nabyte na wagę złota. Dwaj z tych młodych ludzi byli urodzeni z Portugalki, drudzy dwaj, z Ormianki wyznania szyzmatyckiego. Gdy już stosunki nasze stały się ściślejsze, przyznali mi się poufnie że pierwotnie udawali się na wyspę Ceylon, w celu nabycia zęba Gaudamy, co im się w rzeczy samej szczęśliwie udało. Nie bardzo dowierzałem tej całej historji, ale następne zwierzenia ich z początku bardzo oględne, zamieniły się w żarty i kpiny, tak dalece, że jeden z nich wypowiedział całe swoje mniemanie o tym zębie dowodząc że przełożony klasztoru ma niemały skład tego artykułu zupełnie podobnego do oryginalnego z kości słoniowej, które trzyma w rezerwie na wielkie okazje.

Młodzi ludzie wyjechali przedemną do Mandelay, i szczegół przez nich opowiadany wyszedł mi zupełnie z pamięci, kiedy w wilję dnia w którym miałem stanąć w miejscu przeznaczenia, ujrzałem z dwóch stron rzeki Irawady niezliczone tłumy ludzi w oczekiwaniu łodzi niosącej mniemaną relikwię.

Na drugi dzień moja flota miała już zarzucić kotwicę w miejscu przeznaczonem, gdy zostaliśmy zmuszeni usunąć się w głąb przystani, aby zrobić miejsce różnokształtnym statkom, szalupom, łodziom, czółnom spieszącym na powitanie drogocennej pamiątki. Cesarz, jego żony, straż, ministrowie, wielcy dygnitarze, patrjarcha, prowincjał i przełożeni klasztorów okolicznych, wszystko we wspaniałem otoczeniu, uświetniało pompę ceremonji.

Ząb Gaudamy spoczywał na poduszce w rodzaju niszy zrobionej w spodniej części przybytku rzeźbionego z drzewa suto nasadzonego drogiemi kamieniami. Sam przybytek ustawiony był na ołtarzu wzniesionym w tyle łodzi cesarskiej, przepysznie przystrojonej, która prawie znikała pod bogatem nagromadzeniem, ciężkich adamaszków i dywanów. Nad tem sklepiał się w wysmukłych łukach *Htee*, symbol monarszej władzy, ukoronowany na szczycie złotemi dzwonkami. Harmonijne dźwięki muzyki, mieszając się z głuchym szmerem niezliczonego tłumu, i dominującym głosem poważnych dzwonów, nadawały tej ceremonji majestatycznej wspaniałości. Po wylądowaniu, orszak udał się procesją do klasztoru gdzie sam cesarz osobiście złożył relikwię, a raczej kawałek kości z której sami ambasadorowie śmieli się potajemnie.

ROZDZIAŁ VII.

(Zwyczaje słoni. — Sposoby polowania na nie. — Anglicy w gołębnikach. — Branie w doły. — Walka słoni z dzikiemi zwierzętami.)

Słoń ma żywot bardzo długi, i jeżeli żaden przypadek nie pozbawi go życia może dojść do 150 a nawet i 200 lat. Nie można mu jednak liczyć przeciętnie więcej nad 60 do 70, ponieważ w stanie natury popada niezliczonym wypadkom, przyczem człowiek tępi go ciągle polując i zastawiając sidła, dzikie zaś zwierzęta toczą z nim wojnę bezustanną, a on sam często wypowiada walkę swoim współbraciom i to prawie zawsze śmiertelną.

Wedle twierdzeń starego dozorcy, pozostającego przy stadzie słoni cesarskich w randze oficera chowu, samiec jest w pełni rozwoju z 25 rokiem, samica zdolna na matkę dopiero w 30 i 35 latach. Potomków nie daje ona nigdy nad 4 do 5 najwięcej i to w odstępach 3 a czasem i 4 lat. Wszechwładca świata przeciwstawiając roztropności słonia, jego rozumowi, długiemu życiu i wielkiej sile, mały popęd do rozmnażania, wypowiedział tem samem wyrok skazujący go na zaginięcie z czasem. Gdyby nie ta wstrzemięźliwość, straszny ten kolos zaległ by całą kulę ziemską, wyludniwszy ją poprzednio.

W stanie natury jest on dziki; przyswojony staje się uległym, cierpliwym i uważnym; z tem wszystkiem jednak zawziętość pozostaje zawsze w jego charakterze, nie zapomina nigdy

urazy, co dowodzi niezwykłego rozwoju pamięci.

Stada dzikich słoni składają się z 100, 150 sztuk lecz rzadko przechodzą liczbę 200. Napady ich są straszne. Widziano niekiedy taką gromadę uderzającą w nocy na obory zajęte przez słonie domowe, w którym to wypadku uwydatnia się więcej niż zwykła inteligencja zwierzęca; wtedy można w nich dostrzedz pewien rozmysł, zastanowienie, niejaką łączność zamiarów. Członkowie jednego stada zgadzają się zwykle między sobą i podlegają jednemu z pomiędzy siebie, który siłą, doświadczeniem i odwagą prowadzi resztę i czuwa nad niemi. Zgoda bywa jednak czasem zamącona a to wtenczas, gdy się znajdzie jeden mniej cierpliwy a więcej zazdrośny i drażliwy, któremu drugi wejdzie w drogę i przeszkodzi w jego upodobaniach lub zalotach. Wtedy wszczynają się walki bez końca. Zaczepiający widzi swoich towarzyszów występujących przeciwko sobie; zwalczony czuje się upokorzonym i by ukryć swój wstyd, oddala się w głąb niedostępnych lasów. Odosobnienie wpływa zgubnie na podrażnione jego usposobienie, skutkiem czego tak dziczeje, że dla swoich i innych zwierząt, a w szczególności dla człowieka, staje się niezmiernie niebezpiecznym. Nie jedna ofiara uległa wściekłości takiego samotnika, *kunny*, (morderca) jak ich przezywają, i rząd angielski w Indjach przeznacza nagrodę myśliwemu, który ma szczęście położyć trupem takiego niebezpiecznego mizantropa.

Pierwsze kły tracą słonie wcześnie razem z mlecznemi zębami; jeżeli zaś po ich odrośnięciu, czy przez potrącenie, dźwignięcie, w walce lub z jakiej innej przyczyny, utracą je powtórnie, nie odrastają im więcej. Na utrzymanie ich wpływa wiele pokarm, woda, klimat, położenie kraju i temperatura. Samice nie mają kłów, u nich wyrosty zębne zastąpione są narością, która nie przechodzi wierzchniej wargi, czasem jednak zdarza się, że wyrost ten dosięga niezwykłej długości i wtedy to zauważano że samice obdarzone taką bronią są niezdatne do rozmnożenia a za to złe nadzwyczajnie. W Birmanji dla tych właśnie przyczyn widziałem jak jedna została zabita.

Na wyspie Ceylon i w Indji, słonie posiadające zęby nie są liczne, ponieważ na nie głównie polują. Potrąciwszy samice i młodzież, otrzymamy proporcję jednego uzbrojonego słonia na dziesięć pozbawionych kłów. W Birmanji z powodu różnych zastrzeżeń utrudniających tępienie tych gruboskórców, mamy jeden procent więcej.

Słonie zwykły obierać duże lasy na swoje schronienie, z przyjemnością zaś przesiadują najchętniej w miejscach odsłoniętych w pobliżu krzaków i mokrych łąk, a największą odrazę czują do trzęsawisk i lotnych piasków, ponieważ z nich nie mogłyby się wydobyć. Upał jest im nieznośny; lubią chłód i wodę; kąpią się z upodobaniem. Dla opędzenia się od owadów, które ze zjadliwością czepiają się miejsc gdzie skóra jest popękana, mianowicie w stawach koło uszów i pyska, tarzają się w błocie lub mule, co tworzy na ich ciele skorupę dającą im wcale niezgrabny pozór. U domowych słoni skóra jest mniej ruda a więcej brunatna i gładsza, dozorcy starają się utrzymać ją w tym stanie smarowaniami z tłustości, do której mięszają substancje z zapachem odstraszającym muchy i mustyki.

Spotkałem się z twierdzeniem, że słoń jest więcej więźniem niż zwierzęciem domowem, ponieważ tylko bojaźń nim powoduje. Zdanie to jest zupełnie mylne. Słoń zna dobrze swoją siłę i wie że w każdej chwili mógłby, jeżeliby mu przyszła ochota, zabić swego dozorcę: on przeciwnie przywiązuje się do tych co się z nim dobrze obchodzą, umie czuć wdzięczność dla osób, które wyleczą go z rany lub choroby, a wziąwszy do pomocy święte księgi, legendy i historję Indji, mógłbym tysiące przytoczyć przykładów, na dowód tej jego zalety; ograniczę się atoli na faktach których byłem naocznym świadkiem.

W Yenagun mieścinie birmańskiej sławnej ze swoich studni olejów mineralnych, jeden dozorca stał na tylnym pokładzie łodzi podczas kiedy słoń zajęty był donoszeniem beczułek z petroleum. W tem miejscu rzeka Irawady jest bardzo głęboka, szeroko rozlana, i z silnym prądem; dozorca potknąwszy się wpadł do wody, a widząc się porwany wirem, krzyknął rozpaczliwie. Słoń co siły opuszczając swoją beczkę rzucił się za tonącym, pochwycił trąbą, zarzucił go sobie na grzbiet i złożył ocalonego na brzeg.

Co do wdzięczności, miałem tego najlepszy dowód na sobie, będąc jej osobistym przedmiotem. W Mandelay, przed moim domem zrobił się ścisk z bryk i jucznych zwierząt, i w tym tłoku koło od wozu przejechało nogę słoniowi. Biedne zwierzę zaczęło okropnie ryczeć z bolu; jego właściciel Parsis, dobry mój znajomy i sąsiad, zmuszony był zsiąść z niego, i okaleczonego przywiązano do pierścienia u wrót, a ja obwiązałem mu nogę serwetą zmoczoną w wódce. Gdy już kompres był mocno przytwierdzony zaprowadzono słonia do stajni. Po południu poszedłem odwidzić Parsisa, poprowadził mnie do chorego, który spokojnie leżał na słomie. Ujrzawszy mnie słoń wyciągnął nogę; powodowany ciekawością opatrzyłem mu ranę; odtąd przychodziłem co dnia odnawiać okłady z gojących maści. Od tego czasu słoń nigdy nie minął mego domu żeby właściwym sobie głosem nie powitać mnie, a kiedy przypadkiem spotkał się ze mną na ulicy, nieomieszkał trąbą gładzić mię po plecach, rękach i ramionach, parskając przytem z radości aż mię ciarki przechodziły po ciele.

Słoń przyswojony nie stara się uciec, co by mu przecież bardzo łatwo przyszło. Wprawiony w domowe życie przystaje tak kompletnie do niego, że nawet czuje się w prawie karania tych, co świeżo złapane opierają się niewoli. Zdarzają się wprawdzie dezercje ale to w skutek jakiejś winy popełnionej. Słoń ma zanadto wiele inteligencji by nie wiedział że przestępstwo pociąga za sobą karę, to też gdy mu się zdarzy że skaleczy lub zabije dozorcę, czy przez złość, zazdrość lub zemstę, powodowany bojaźnią czasem w las uchodzi.

Samice okazują wiele czułości i rozwagi w wychowywaniu swojego potomstwa i niesądźcie by powodowane ślepą miłością macierzyńską pieściły i psuły nieumiarkowanie swoje małe. Ze strony matki jest to przeciwnie nieustająca troskliwość, rozumna czułość i staranie. Nie psując pieszczotami małego, zwraca nań nieustającą baczność, nauczając co mu potrzebne, a oduczając tego co mu później będzie wzbronione. Z całą oględnością czuwa nad tem by mu nic niebrakowało, usuwa, zapobiega mogącym mu grozić wypadkom, ale z tem wszystkiem karze, gdy popełni błąd jaki.

(C. d. n.)

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

CZĘŚĆ DRUGA.

II.

Mimo że dwa lata ubiegły, hrabia Olpiński, nic się nie zmienił — nawet się nie postarzał. Już to powiedziawszy prawdę, hrabia znajdował się w owym wieku, w którym czasem cały lat dziesiątek prawie żadnych śladów nie zostawia po sobie. Osobom w jego wieku, zwłaszcza jeżeli mają twarz jak on pomiętą, można dać tak dobrze lat pięćdziesiąt, jak siedmdziesiąt.

Montesquieu był ciągle jego ideałem, „Kronika świata“ głównem zajęciem, od którego chyba wtedy się odrywał, gdy miał napisać jaki list ważny. Ostatniemi czasy korespondencja hrabiego bardzo się wzmogła, i listy w rzeczy samej musiały być ważne, bo pisał je czasem późno w noc, co u niego było zjawiskiem nadzwyczajnem, a napisawszy, bądź nazajutrz sam odwoził na pocztę, bądź wkładał w osobną kuwertę, którą dopiero urzędnik pocztowy otwierał.

W pałacu nikt nie wiedział, z kim hrabia koresponduje; służbę to nie obchodziło, a Hermina była osobą zbyt dobrze wychowaną, by się zniżała do wypytywań.

Trzeciego dnia rano po wycieczce Herminy do Romanówki, przyjechał do Warnowiec pan Marceli Tarczuk, i prosto udał się do hrabiny, z którą miał całogodzinną konferencję. Hermina po rozmowie z adwokatem, kazała założyć konie do faetonu, a mecenas udał się tymczasem do pracowni hrabiego.

— Bardzo mi miło — odpowiedział hrabia na powitanie — pan dobrodziej jak widzę częściej teraz do nas zagląda.

— Obowiązek panie hrabio, obowiązek przedewszystkiem! Sprawa tak ważna, jak pani hrabiny wymaga pilności i czujnego, oka.

— Wierzę, wierzę... o ile się domyślam szanowny mecenas umiesz być pilnym za trzech, a czujnym za dziesięciu....

— Łaskawe żarty panie hrabio, chociaż w czasach dzisiejszych istotnie żelaznej pracy potrzeba, by jako tako wyżyć i z głodu nie umrzeć.

— Doprawdy szanowny mecenasie? A mnie niedawno ktoś mówił, że przed tygodniem kupiłeś majątek za dwakroć i świetny zrobiłeś interes.

— Zazdrość panie hrabio, zazdrość ludzka! O interesie nie ma nawet mowy. Wieś zaniedbana, bez budynków, długów na niej bez liku, w dodatku przepłaciłem co najmniej czterdzieści tysięcy — ale że to majątek sierociński, więc sumienie kazało mi przyjść w pomoc opuszczonym.

— Zapewne pan sam opiekowałeś się temi sierotami?

— Rzeczywiście, panie hrabio, sąd narzucił mi opiekę, nie mogłem się wymówić, bo obowiązek przedewszystkiem.... Pan hrabia daruje — ciągnął dalej adwokat — jeżeli ośmielę się przypomnieć nasz interes, wczoraj upłynęły dwa lata.

— O pamiętam panie dobrodzieju, pamiętam.. proszę tylko o reskrypt.

Pan Tarczuk wyjął dokument, który przez ten czas musiał w dobrym spoczywać schowku, gdyż nawet nie był pomięty i podał go hrabiemu.

Ten otworzywszy dolną szufladę w sekretarzu, wyjął z niej sześć banknotów, każdy po tysiąc reńskich, położył wszystkie na książce i rzekł:

— Proszę szanowny mecenasie, bardzo proszę.

Pan Tarczuk nie dał sobie tego powtórzyć.

— Muszę panu wynurzyć moje zadowolenie — ciągnął hrabia — bo nie wiem czy w całym kraju jest drugi adwokat, któryby umiał zwlekać tak znakomicie.

— Stokrotne dzięki, panie hrabio, lecz niktby nie uwierzył, ile to pracy kosztowało. Pani hrabina molestowała mnie po kilka razy na miesiąc, i gdyby to nie dla pana hrabiego...

— Bardzo wierzę panie dobrodzieju, bardzo wierzę — przerwał pan Olpiński wykrzywiając twarz do uśmiechu. — Ale jak tam sprawa, na ukończeniu?

— Najzupełniej. W konsystorzu i sądzie wszystko załatwione, a gdy strona przeciwna także się zgadza, więc zaledwie kilka tygodni dzieli nas od ukończenia *de jure* i *de facto*. Chyba żeby pan hrabia życzył sobie...

— Zwlekać? Nie! nie! nie! Takie zwłoki zjadłyby mi Warnowce z przyległościami... zresztą widzę, że wszystko na nic się nie przyda—niech zatem stanie się co się ma stać; a im prędzej tem lepiej. Jeszcze słówko mecenasie. Czy hrabina poleciła wnieść ostatnie podanie?

— Nie... kazała mi się wstrzymać.

— Aha...

Adwokat zawiedziony w nadziejach, bąknął jeszcze słów kilka, a gdy nie otrzymał odpowiedzi, pokręcił się po pokoju i wyszedł po kilku głębokich ukłonach z miną bardzo rzadką.

W pół godziny dało się słyszeć trzaskanie z batoga, a potem turkot odjeżdzającego powozu.

— Kto pojechał? — zapytał hrabia wchodzącego Michałka, na którego zadzwonił.

— To ten mały pan z miasta.

— Dobrze, dobrze, czego jeszcze stoisz trutniu?

— Myślałem że jaśnie pan miał mi co rozkazać.

— Nic... a pani hrabina gdzie, nie wiesz?

— Zdaje mi się, że poszła do szkoły.

— Dobrze, a teraz idź mi z oczu, bo nie mam czasu.

Michałek odszedł śmiejąc się do siebie, a hrabia zasiadł do pisania.

Tym razem jednak „Kronika świata“ nie była przedmiotem jego zajęcia. Wyjąwszy duży arkusz papieru listowego, zaczął pisać bardzo szybko, i jakby z obawy, by go kto nie podpatrzył, przesuwał ćwiartkę papieru białego na każdy wiersz świeżo napisany. Hrabia tak był zatopiony, że mu nawet przez myśl nie przeszło czy papier, którym pismo zasłaniał nie zamaże słów, robiąc cały list nieczytelnym.

Gdy zapisał pierwszą stronicę, obracając kartkę zapomniał o czystym papierze, który skutkiem tego został na dawnem miejscu, włożony teraz w środek arkusza. Gdyby panna Marjanna znajdowała się była w pracowni hrabiego, korzystając z tej jego nieuwagi, byłaby może przez ramię piszącego rzuciła okiem na hieroglify, i niepostrzeżona przez oryginała, byłaby odczytała co pan Olpiński z gorączkowym pospiechem kreślił na drugiej stronicy:

„Przykro mi, że przeciw niej, którą tak kocham, działam potajemnie, nawet podstępnie, ale jeżeli kiedy, to teraz widzę, że Pascal miał rację gdy powiedział: *„C'est l' intention, qui règl la qualité ed l'action.* Zamiar mój jest dobry, więc i środki, których używam nie powinne być potępione. Zresztą kobieta jest jak dziecko, gdy się uprze, drogą otwartą nie trafisz do jej przekonania; rad nie rad musisz więc użyć niewinnego podstępu. Jej adwokat przyszedł mi w pomoc — dwa lata zwlekałem. Teraz atoli piszesz mi, co .. z drugiej strony Tarczuk także potwierdził, że zmęczony postanowiłeś na wszystko przystać... Mój kochany Henryku, dotąd znałem cię jako lekkomyślnika, który jednak z czasem mógł zostać człowiekiem porządnym; dziś widzę żeś baba, a na to nie ma lekarstwa. Straciłeś majątek, miałeś być moim spadkobiercą... cofnę zapis, jeżeli ty nie cofniesz swego postanowienia. Chyba że jej nie kochasz... Ha! w takim razie daję ci zupełną absulucję. Co do niej... ale dajmy temu pokój! Pomówimy osobiście... Tymczasem nie proszę, lecz żądam, byś najpóźniej do dwóch miesięcy wrócił do kraju, a przyjechawszy, zaraz mnie o tem uwiadomił. Obecność twoja może będzie bardzo potrzebną...“

Skończyła się druga stronica, hrabia przechodząc na trzecią, przypomniał sobie ćwiartkę białego papieru, wyjął ją ze środka i dalszy ciąg zasłonił...

Podczas gdy hrabia był tak zajęty, na pięknym koniu arabskim nadjechał Edmund, a za nim Grześ, który z chłopca kredensowego we Wolicy, awansował w Romanówce na dżokieja. Michałek, który po całych dniach próżnował, znalazł się natychmiast aby konia przytrzymać.

— Są państwo? — zapytał Edmund, biorąc od Grzesia te same nuty, które trzy dni temu pani Hermina w Romanówce zostawiła.

— Są proszę jaśnie pana, jeno ich nie ma.

— Jakto są i nie ma?

— A tak proszę jaśnie pana, pan hrabia zamknął się i pisze, a pani hrabina poszła do szkoły.

— Do szkoły?

— Aha, do szkoły... Prawda, jaśnie pan nie wie, że my tu mamy szkołę od wiosny... tego nikt nie wie... pani hrabina zakazała o tem mówić, ale kiedy mi się wyrwało...

— Nic to nie szkodzi mój Michałku, poproszę panią hrabinę żeby się na ciebie nie gniewała; tymczasem pokaż mi którędy droga do tej szkoły.

— Prosto przez aleję... w murze jest tam teraz furtka. Ale niech jaśnie pan nie mówi pani hrabinie, że to ja pokazał.

— Bądź spokojny Michałku.

Edmund wszedł w cienistą aleję kasztanową. W miejscu wskazanem przez Michałka, o kroków kilkadziesiąt za murem ogrodowym, wznosił się w stylu szwajcarskim nowy domek parterowy wśród ogródka świeżo założonego. Dom miał trzy pokoje i jednę salę przestronną, której okna były otwarte. Edmund zbliżywszy się do furty, chciał otworzyć, lecz gdy rękę na klamce położył, zawahał się i po krótkim namyśle stanął pod drzewem, zkąd mógł śledzieć co się w szkole działo, nie będąc sam widzianym. W sali znajdowało się kilkadziesiąt dziewcząt wiejskich, schludnie ubranych i pani Hermina, która opowiadała im bardzo coś ciekawego, bo uczennice słuchały pilnie wpatrzone w twarz nauczycielki. Skończywszy, hrabina zaczęła coś kreślić na tablicy, a potem pokazywała książkę z rycinami i jakąś kulę podobną do globusu.

Chociaż nic nie słyszał i bardzo mało widział, albowiem słońca promienie padały mu prosto w oczy, Edmund pół godziny stał na jednem miejscu, a przyłożywszy rękę do czoła, patrzył ciągle na piękną nauczycielkę. Na uśmiechniętej jego twarzy widać było coś, co się równało uwielbieniu...

Skończyła się lekcja, wyszła hrabina, posypały się za nią dzieci, i już na dworze każde ucałowało jej rękę. Ona kolejno pogłaskała ich twarzyczki, a zapowiedziawszy głośno, by nazajutrz wszystkie się zeszły, zwróciła się do furty. Wesołe dzieci pobiegły do wsi polnemi ścieżkami.

— Podpatrzyłem jednę z tajemnic pani — przemówił Edmund, witając hrabinę w chwili gdy do ogrodu wchodziła — i przyznam się, że jestem oczarowany.

— Pan tu?! — odparła ze zdziwieniem, poczem szybko dodała: — Żałuję cię panie Edmundzie, jeżeli tak łatwo można cię oczarować.

— Mylisz się hrabino, mnie czarują tylko rzeczy nadzwyczajne.

— A cóż pan tu znalazłeś tak nadzwyczajnego?

— W każdym razie taka nauczycielka w takiej szkole nie jest zjawiskiem powszednim.

— Być może, że nie jest powszednim, lecz za to bardzo prozaicznem. Trzeba panu wiedzieć, że nudzę się niesłychanie, więc aby czemkolwiek czas zabić, czemkolwiek zapełnić próżnię, która mnie otacza, wpadłam na ten pomysł oryginalny. Kazałam postawić domek, w którym kiedyś zainstaluję nauczycielkę z powołania, a tymczasem uczę sama biedne dzieci, co mnie w wysokim stopniu rozrywa.

— Teraz masz pani tylko rozrywkę, z czasem jednak przyjdzie zadowolenie, gdy owoce pracy będą widoczne.

— Owocy pracy!... bardzo wątpię... w takich iluzjach ja nie żyję! Nasz ludek kochany, jak go zwykli nazywać ci panowie teoretycy, którzy siedząc w mieście, z bliska nigdy go nie poznali, ten ludek, to grunt jeszcze bardzo jałowy i długiej a mozolnej pracy potrzeba zanim on wyda owoce. Ja zaś nie należę do istot, które mogą umrzeć dla jakiejś idei filantropijnej. Przedewszystkiem jestem egoistką i myślę o sobie.

— Słowa pani są w sprzeczności z jej postępowaniem.

— Bynajmniej! Wszak panu powiedziałam, że mnie to bawi, rozrywa, a ja rozrywki tak potrzebuję! Szczególnie komicznym był zawiązek mojej szkoły. Na kilka dni przed jej otwarciem, prosiłam naszego księdza i wójta, by ogłosili we wsi zamożniejszym gospodarzom, których dziewczęta mogą codzień oderwać się choćby na godzinę od pracy, ażeby przysyłali swoje córki do szkoły. Obadwa uczynili o co prosiłam, lecz napróżno czekałam cały tydzień. Chociaż mię tu lubią, nie pokazała się żywa dusza.

— I jakżeś pani ten opór złamała?

— Podarunkami! Prawda, że to środek arcyzabawny? Widząc że prośbą nic nie wskóram, przyrzekłam każdemu dziewczęciu, które przyjdzie do szkoły dać piękną wstążkę. Plan udał się wyśmienicie, bo już nazajutrz przyszło ich kilkadziesiąt. Co tydzień ponawiałam podarunki, ale po niejakim czasie i to przestało skutkować. Rodzice widząc, że zamiast spodziewanych wołów lub koni, córki dostają błahostki, nie pozwolili im więcej chodzić, i tak z kilkudziesięciu zrobiło się zaledwie czternaście, które może zostaną, bo objawiają pewną chęć do nauki.

— A więc są owoce i praca pani zasłu-

guje w każdym razie na uwielbienie, bo jest poświęceniem.

— To nie poświęcenie, to kaprys, czysty kaprys kobiecy! — dał się słyszeć za plecyma rozmawiających głos hrabiego Olpińskiego.

Oryginał skończywszy list i posławszy go na pocztę, wyszedł jak według zwyczaju na przechadzkę do ogrodu. Będąc już w połowie alei postrzegł na jej końcu dwie postaci, a chociaż miał wzrok krótki, domyślił się, że jedną była Hermina. Co do drugiej miał jeszcze pewne wątpliwości. Może przez ciekawość, a może by rozmawiającym zrobić niespodziankę, zbliżył się do nich tak cicho, że o jego obecności dowiedzieli się dopiero ze słów wymówionych.

— Być może, że to kaprys, i za sąd twój kochany wujaszku wcale się nie gniewam — zawołała pani Hermina, śmiejąc się wesoło.

— A jabym śmiał twierdzić, że to sąd zbyt surowy — dodał Edmund kłaniając się hrabiemu.

— A to pan, panie Edmundzie? Dzień dobry panu, dzień dobry... dalipan, nie poznałem... zdawało mi się, że to Dziunio.

Hrabia Dziunio był od Edmunda o głowę niższy, szczuplejszy, i nosił ryże bokobrody, których mąż Toni nawet chcąc nie mógłby zapuścić, bo był brunetem.

— Musiałem się bardzo zmienić, kiedy pan hrabia nie raczył mnie poznać? — odparł Edmund, a po różowych jego ustach, przebiegł uśmiech ironiczny.

— Wujaszek ma wzrok krótki — tłumaczyła Hermina.

— Istotnie, istotnie... prócz tego nie spodziewałem się zobaczyć pana tak prędko w naszym domu. Teraz gospodarstwo, musi pan mieć zajęcie....

— Nie więcej jak zwykle... żniwa idą dobrze... Dziś przyjechałem na chwilę, aby pani hrabinie zwrócić nuty, które łaskawie pożyczyła mojej żonie.

Edmund usiłował mówić spokojnie, chociaż w sobie gniew tłumił.

Hermina niespokojnie spoglądała na wuja.

— A jak tam zdrowie pani dobrodziejki? Nie łaskawa na nas, nie łaskawa.

— Właśnie dziś chciała służyć państwu, lecz wczoraj wieczór dziecko dostało gorączki, a rano pokazała się wysypka.

— Święta kobieta, bardzo zacna kobieta! — chwalił pan Olpiński kręcąc głową na znak potwierdzenia — ona dziecka pewnieby nie opuściła... ona ma obowiązki, święte obowiązki, większe niż ta szkoła... Ale nie przeszkadzam państwu... bawcie się, do miłego widzenia.

Skłonił się z daleka i odszedł w boczną aleję; Hermina z Edmundem ruszyli ku pałacowi. Kilka minut szli obok siebie nic nie mówiąc; oboje byli podrażnieni. Nareszcie Hermina pierwsza przerwała milczenie.

— Mój wujaszek z każdym dniem staje się większym dziwakiem. Jeżeli tak dłużej potrwa, będę musiała wyemigrować z jego domu.

— O ile mogłem zrozumieć, niechęć była skierowaną tylko przeciw mojej osobie.

— Przeciw panu? Za co?

— Nie wiem, ale że tak było, ani chwili nie wątpię.

— Zdawało ci się panie Edmundzie — odrzekła Hermina z uśmiechem czarodziejskim. — Mój poczciwy wujaszek jest już od dłuższego czasu zirytowany. Ręczę, że mu się nie wiedzie z „kroniką" i dla tego zły na cały świat. Gościom jednak był zawsze rad, zwłaszcza moim... bo przecie pan dzisiaj do mnie przyjechałeś, nieprawdaż?

Pytaniu temu towarzyszyło spojrzenie długie a tak zagadkowe, że nie tylko Edmund, do którego było zwrócone, lecz w ogóle nikt ze śmiertelnych nie byłby go zrozumiał.

— Rzeczywiście hrabino... przyjechałem w zastępstwie mojej żony.

— Biedna Tonia! Więc dziecko ma odrę?

— Wysypka pokazała się dziś rano.

— Biedna Tonia! jak ją to musi niepokoić... Jutro odwidzę was, by ją pocieszyć.

— Pani jesteś dobrą nad wszelką pochwałę.

— Cóż w tem tak dobrego? Czyż takiej drobnostki pan byś dla mnie nie uczynił?...

— Pozwolisz hrabino, że nie odpowiem na to pytanie.

Edmund rzekłszy to spuścił wzrok ku ziemi, a twarz jego była bledszą jak przed chwilą. Hermina śledziła go okiem bystrem, przenikającem głębię duszy i na drobnych jej ustach pojawił się uśmiech na pół anielski, na pół szatański.

W chwili gdy gospodyni domu ze swoim gościem zbliżyła się do pałacu, panna Marjanna kończyła na dziedzińcu rozmowę z Grzesiem, który pomny na swój ubiór dżokiejski, odpowiadał na zapytania krótko a poważnie, przyczem jak koń głową poruszał. Panna Marjanna była z natury bardzo ciekawą, to też dowiadywała się szczegółowo jak młodzi państwo z sobą żyją, czy się bardzo kochają i o czem rozmawiają z panią hrabiną, gdy do nich przyjedzie. Przedewszystkiem starała się wybadać Grzesia, czy jego pan nie skarży się kiedy przed żoną na brak rozrywki, lub czy od niej nie żąda, by częściej Warnowce odwidzała.

Grześ odpowiadał wymijająco, często powtarzając, że panna Marjanna najlepiej zrobi, jeżeli jego pana sama o to zapyta, a gdy garderobiana nie mogąc nic wskórać odeszła w złym humorze, Grześ mruknął sobie tylko dwa słowa:

— Nie głupim!

W pół godziny Edmund wracał kłusem do Romanówki. (C. d. n.)

USPRAWIEDLIWIENIE.

W cichym majowym wieczorze,
Gdy żaden wietrzyk nie wionie,
Gdy świecą złote gwiazd oczy
I ziemia w blaskach zatonie —
Pięknie w spokojnem jeziorze
Błyszczy jej obraz uroczy!

Lecz gdy jesienią duch burzy
Zajęknie hymnem pogrzebu,
Promienne światy zasłoni
Wionąwszy mgłami ku niebu —
I błękit jeziora schmurzy
Męty wzruszywszy wśród toni.

Tak, kiedy jeszcze w ukryciu
Śpią tajemnice przyszłości
Dusza poety-dziecięcia
Marzy snem pierwszym o życiu...
Pierwszem pojęciem miłości
Garnąc świat cały w objęcia!

Lecz w zmiennej losów kolei
Gdy znikną czary, uroki,
Szron zimny uczuć kwiat sprószy
W mgle zgaśnie gwiazda nadziei —
Możeż wam inne widoki
Odbić zwierciadła tej duszy?

O! któżby pragnął chmur czarnych
Nad swoją pieśnią i życiem?
Kto jasną myśl swą, niestety
Niósłby do progów cmentarnych?
Gdyby świat nie był „odbiciem"
W jeziorze ducha poety!

Marja B.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tajemnica.

ROZDZIAŁ XVIII.

(Ciąg dalszy.)

(Rozmyślanie każdego z osadników. — Dalsze prace około budowy okrętu. — 1. Stycznia 1869. — Pióropusz u szczytu wulkanu. — Pierwsze znaki wybuchu. — Ayrton i Cyrus Smith w zagrodzie. — Poszukiwania w krypcie Dakkara. — Co kapitan Nemo powiedział inżynierowi.)

Ze świtem osadnicy przybyli w milczeniu do wyjścia z groty, której nadali miano „krypty Dakkara" na pamiątkę kapitana Nemo. W tej chwili właśnie trwał odpływ, łatwo im więc przyszło przesunąć się pod arkadę, o której stopy bazaltowe uderzała fala.

Łódź z żelaznej blachy pozostawili na miejscu, zabezpieczywszy ją jednak pierwej przed bałwanami morza. Przez nadmiar ostrożności, Pencroff, Nab i Ayrton wyciągnęli ją na maleńkie wybrzeże, dotykające jednego z boków krypty, w którym to punkcie nie groziło jej najmniejsze niebezpieczeństwo.

Burza ustała za nadejściem dnia. Ostatnie powarki grzmotu cichły na zachodzie. Deszcz także zaprzestał już padać, ale niebo jeszcze pokryte było chmurami. Biorąc jednak ogólnie, ten miesiąc październik, stanowiący początek wiosny południowej, nie zaczynał się zbyt pomyślnie, i wiatr zdradzał popęd do przeskakiwania z jednego punktu kompasu w drugi, co nie pozwalało liczyć na stałą pogodę.

Cyrus Smith i towarzysze, opuściwszy kryptę Dakkara, udali się napowrót drogą do zagrody. Po drodze Nab i Harbert zajęli się odejmowaniem drutu, przeciągniętego przez kapitana pomiędzy zagrodą a kryptą, który mógł się przydać na później.

W drodze osadnicy mówili mało. Różnorodne przejścia tej nocy z 15 na 16 października wywarły na nich żywe wrażenie. Ów nieznajomy, którego wpływ pomagał im tak skutecznie, człowiek z którego wyobraźnia ich utworzyła jakiegoś genjusza, kapitan Nemo — już nie istniał. Jego *Nautilus* wraz z nim spoczywał w głębi przepaści. To też zdawało się wszystkim, że większa jeszcze samotność cięży nad nimi, niż dawniej. Przywykli bowiem, rzec można, do liczenia na tę potężną pomoc, której im teraz miało zabraknąć. Nawet Gedeon Spilett i Cyrus Smith nie mogli się otrząść z takiegoż samego wrażenia. To też zachowywali wszyscy głębokie milczenie podczas całej drogi do zagrody.

Około dziewiątej rano osadnicy znaleźli się znowu w pałacu Granitowym.

Postanowionem było nieodwołalnie, że czynnie się zabiorą znowu do pracy około budowy okrętu — i Cyrys Smith poświęcił temu zadaniu bardziej niż kiedykolwiek wszystek swój

czas i wszystkie starania. Nie można było wiedzieć, co przyszłość dla nich gotuje. W takim tedy stanie rzeczy, ważną rękojmią dla osadników było mieć do rozporządzenia gruntownie zbudowany okręt, zdolny utrzymać się na morzu nawet w czasie burzy i dostatecznie wielki, ażeby się na nim można było puścić w dłuższą i dalszą drogę.

Jeżeli po skończeniu okrętu osadnicy nie byliby jeszcze zdecydowani na opuszczenie wyspy Lincolna, i skierowania się bądźto ku archipelagowi polinezyjskiemu na Ocenie Spokojnym, bądź też ku wybrzeżom Nowej Zelandji, to w każdym razie obowiązkiem ich było pospieszyć przynajmniej na wyspę Tabor, dla złożenia tam zapisków odnoszących się do Ayrtona. Był to konieczny środek ostrożności na przypadek gdyby yacht szkocki zjawił się znowu na tych morzach — i pod tym względem nie wolno było zaniedbać niczego.

Zabrano się więc znowu gorliwie do robót. Cyrus Smith, Pencroff i Ayrton przy pomocy Naba, Gedeona Spiletta i Harberta, jeżeli tych ostatnich jakiekolwiek ważne zajęcie nie odrywało — pracowali bez przerwy. Konieczną było rzeczą kończyć nowy okręt do pięciu miesięcy, to jest na początek marca — inaczej bowiem nie zdążyliby odwidzieć wyspy Tabor przed burzami równonocnemi, któreby zupełnie tę wycieczkę uniemożliwiły. To też wcale nie tracili ani jednego mgnienia. Zresztą nie potrzebowali się troszczyć o maszty i ożaglowanie, bo wszystko to posiadali, w spadku po *Speedy'm*. Szło więc tylko przedewszystkiem o ukończenie pudła okrętowego.

Koniec roku 1868 upłynął w pośród tych ważnych zajęć, którym prawie wszystkie inne miejsca ustąpiły. Przy końcu półtrzecia miesiąca całe rusztowanie statku było już złożone i oklepkowanie rozpoczęte. Można już było ocenić, że plany dane przez Cyrusa Smitha były doskonałe i że okręt wybornie trzymać się będzie na morzu. Pencroff oddawał się tej pracy z zapalczywą gorliwością; nie ukrywał bynajmniej gniewu, gdy który z towarzyszy zamieniał na chwilę topór cieśli na przybór myśliwski. A jednakże potrzeba było podtrzymywać zapasy Granitowego Pałacu, mając na widoku przyszłą zimę. To było Pencroffowi obojętne. Dzielny marynarz nie rad był tylko, gdy robotników brakło w warstacie. Wtedy mruczał, zrzędził — i z wielkiej irytacji robił sam za sześciu.

Pogoda przez cały ten czas była niepomyślna. Przez kilka dni trwały nieznośne skwary, w skutek których atmosfera nasycona elektrycznością wyładowywała się następnie gwałtownemi burzami, wstrząsającemi aż do głębi warstwy powietrzne. Rzadko minął dzień, ażeby dalekie odgłosy grzmotu słyszeć się nie dały. Był to jakby jakiś pomruk głuchy, ale ciągły, podobny do zdarzającego się zwykle w okolicach równikowych globu.

1szy Stycznia 1869 zaznaczył się nawet burzą niesłychanie gwałtowną, w ciągu której piorun uderzył wielekroć w wyspę. Olbrzymie drzewa ugodzone i potrzaskane zostały, pomiędzy innemi owe olbrzymy ocieniające budynki dla drobiu na południowym krańcu jeziora. Czyż meteor ten miał jaki związek z fenomenami, odbywającemi się wewnętrznościach ziemi? Tworzyłże się rodzaj powinowactwa pomiędzy zamętem w powietrzu i zamętem wewnętrznym globu? Cyrus Smith skłonnym był do uwierzenia w coś podobnego, ponieważ to rozhukanie burz łączyło się zawsze z powiększeniem symptomatów wulkanicznych.

Jednakże dopiero 3go stycznia Harbert wszedłszy o świcie na wielką Terasę w zamiarze osiodłania onaggasa, postrzegł olbrzymi pióropusz z dymu wznoszący się na szczycie wulkanu.

Natychmiast zawiadomił o tem osadników, którzy też zaraz zebrali się dla obserwowania góry Franklina.

— Ho! ho! — zawołał Pencroff — na ten raz to już nie proste wyziewy. Zdaje mi się, że olbrzym nie poprzestaje już tylko na oddychaniu, ale i fajkę pali!...

Przenośnia ta użyta przez marynarza, charakteryzowała doskonale zmianę jaka zaszła na kraterze wulkanu. Od trzech miesięcy już krater wyrzucał wyziewy mniej zgęszczone, ale pochodzące widocznie tylko z wewnętrznego wrzenia materyj mineralnych. Na ten raz zaś miejsce wyziewów zajęły gęste kłęby dymu, wznoszące się w postaci szarawej kolumny, szerokiej przy osadzie na więcej niż trzysta stóp, a rozszerzającej się jak niezmierny grzyb na wysokości siedmiuset do ośmiuset stóp po nad szczytem góry.

— Ogień dostał się już do komina — rzekł Gedeon Spilett.

— A nie w naszej mocy go zagasić! — odpowiedział Harbert.

— Należałoby co prawda zaprowadzić obyczaj czyszczenia wulkanów — zauważył Nab, z tonem najpoważniejszym w świecie.

— Znakomicie Nabiu — zawołał Pencroff. — Czy może tybyś zechciał zostać kominiarzem wulkanów?

I marynarz wybuchnął grubym śmiechem.

Tymczasem Cyrus Smith obserwował z uwagą gęsty dym dobywający się z góry Franklina i nadstawiał nawet ucha jak gdyby chcąc pochwycić jakieś oddalone grzmoty. Po chwili zaś, zwracając się do towarzyszy, od których się nieco oddalił, rzekł:

— W istocie, moi przyjaciele — ważna zmiana tu zaszła — nie podobna się łudzić. Materje wulkaniczne nietylko że wrą, ale zajęły się już nawet ogniem i z wszelką pewnością zagraża nam bliski wybuch!

— A więc i cóż — panie Smith — zawołał marynarz — przyjrzymy się temu wybuchowi — a jak się uda, to mu damy brawo! Co do mnie myślę, że nie ma się tu czem zajmować.

— To prawda, Pencroffie — odparł Cyrus Smith — ponieważ dawny szlak lawy wciąż jeszcze otwarty i dzięki kierunkowi jego, materje z krateru dotąd zawsze spływały ku północy. A jednakże...

— A jednakże — podjął korespondent — ponieważ żadnej korzyści przynieść nam ten wybuch nie może, lepiejby więc było, ażeby nie miał miejsca.

— Kto wie? — zawołał marynarz. Może w tym wulkanie znajdować się jakaś drogocenna i pożyteczna materja, którą pobłażliwość wyrzuci — a my potrafimy zużytkować!

Cyrus Smith potrząsł głową, jak człowiek niespodziewający się niczego dobrego od fenomenu, który się tak nagle rozwinął. On nie zapatrywał się tak lekko jak Pencroff, na następstwa wybuchu. Chociaż lawy w skutek układu krateru, nie zagrażały bezpośrednio częściom zarosłym i uprawnym wyspy, ale inne zawikłania mogły się pojawić. W istocie, nie często się zdarza, że wybuchom towarzyszy trzęsienie ziemi, a wyspa takiego składu jak wyspa Lincolna, uformowana z tak różnorodnych materjałów — z jednej strony z bazaltów, z drugiej z granitów, z law na północy, z ruchomego gruntu na południu, a więc z materjałów, które nie mogły mieć gruntownej wzajemnej spójni, — kto wie, czy nie narażoną byłaby w razie trzęsienia na rozpadnięcie. Chociaż więc wylew substancyj organicznych nie stanowił zbyt znacznego niebezpieczeństwa, to za to ogólne poruszenie masy ziemi, któreby się udzieliło i wyspie — mogło pociągnąć za sobą nader groźne dla niej następstwa.

— Zdaje mi się — rzekł Ayrton, który leżał dotąd na ziemi z uchem przyłożonem do niej — zdaje mi się, że słyszę głuchy turkot, jak gdyby wozu wyładowanego sztabami żelaza.

Osadnicy nadstawili ucha z wytężoną uwagą i wnet się przekonali, że Ayrton nie uległ złudzeniu. Z turkotem wspomnianym przez niego łączyły się od chwili do chwili ryki podziemne, tworzące rodzaj „rinforzando“ i cichnęły powoli. Wszystko to sprawiało takie wrażenie, jak gdyby jakiś wicher gwałtowny przeleciał po wnętrznościach globu. Ale nic jednak podobnego do huku we właściwem tego słowa znaczeniu nie dawało się dotąd słyszeć. Wnosić więc z tego było można, że wyziewy i dymy znajdowały wolne przejście przez główny komin, i że przy znacznej obszerności klapy, żadne wysadzenie nie nastąpi, żadnego wybuchu nie trzeba się obawiać.

— Ha!... — zawołał słysząc te konkluzje Pencroff... — Wróćmy więc do roboty! Niech tam sobie góra Franklina pali fajkę, ryczy, jęczy, miota ogniem i płomieniem — wszystko to nie powód, aby nic nie robić... Nuże Ayrtonie, Nabie, Harbercie, panie Cyrus, panie Spilett — wszyscy dziś muszą przyłożyć ręki do dzieła. Dzisiaj przypada nam przypasować całe obrzeże okrętu, a przy takiej robocie tuzin ramion to nie nadto. Chcę ażeby nim miną dwa miesiące nasz nowy *Bonawentura* — zachowamy mu bowiem to imię, nie prawdaż? — pływał już po wodach portu Balonowego! A więc ani godziny do stracenia nie ma!

Wszyscy osadnicy, których ramion zażądał Pencroff, zeszli do warstatu i zabrali się do założenia owego obrzegu okrętu, składającego się z grubych belek tworzących opaskę każdego statku i spajających gruntownie wszystkie części jego skieletu. Ważna to i ciężka była robota, w której wszyscy mieli wziąć udział.

To też pracowali gorliwie przez cały ten dzień 3go stycznia, nie troskając się wcale wulkanem, którego zresztą nie można było spostrzedz z wybrzeża pod Granitowym Pałacem. Raz jednak czy dwa, wielkie cienie, które zasłoniły nagle słońce, opisujące swój łuk dniowy po niezmiernie czystem niebie, były wskazówką, że gęsty obłok dymu przeszedł pomiędzy kręgiem słońca a wyspą. Wiatr wiejący od morza unosił te wszystkie wyziewy na zachód. Cyrus Smith i Gedeon Spilett zauważyli wyborne te zachmurzenia się przechodnie i kilkakrotnie udzielili sobie nawzajem spostrzeżeń, odnoszących się do widocznego wzrostu zjawiska wulkanicznego — ale się robota przez to nie przerwała. Zresztą było rzeczą najwyższego interesu dla osadników, pod wszelkiemi względami dokończyć okrętu w terminie jak najkrótszym. Wobec okoliczności, jakie się mogły przedstawić, bezpieczeństwo osadników zyskałoby silniejszą rękojmię. Kto wie,

czy ten okręt nie miał być pewnego dnia ich jedynem schronieniem?

Wieczorem, po wieczerzy, Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Harbert weszli znowu na Wielką Terasę. Noc już całkiem zapadła, ciemność więc powinna była dopomódz do rozpoznania, czy do wyziewów i dymów nagromadzonych około paszczy wulkanu, łączyły się bądźto płomienie, bądźteż roztopione materje, wyrzucone przez ognistą górę.

— Krater w ogniu! — zawołał Harbert, który jako żywszy od swoich towarzyszy, pierwszy wbiegł na Terasę.

Góra Franklina, odległa o sześć mil mniej więcej, przedstawiała się w tej chwili w postaci gigantycznej pochodni, u szczytu której miotało się kilka burych płomieni. Tyle dymu, tyle sadzy i popiołów niezawodnie musiało być domięszanych do tych płomieni, że blask ich, mocno przyćmiony, nie odbijał się żywo na tle ciemności nocnych.

Ale rodzaj jakiegoś płowego światła rozścielał się nad wyspą i odcinał w mglistych zarysach części zarosłe na pierwszym planie wyspy. Olbrzymie kłęby poplątanych dymów zaciemniały wyżyny niebios, a na wskróś ich prześlniewało jeszcze gwiazd kilka.

— Postępy nader gwałtowne! — ozwał się inżynier.

— Nic w tem dziwnego — odrzekł korespondent. — Zbudzenie się wulkanu datuje się już od pewnego czasu. Przypominasz pan sobie, Cyrusie, że pierwsze wyziewy pojawiły się mniej więcej w epoce odbywanych przez nas poszukiwań w rozgałęzieniach góry Franklina, dla odkrycia schronienia kapitana Nemo. Było to, jeżeli się nie mylę, około 15go października.

— Tak jest! — odpowiedział Harbert — a odtąd minęło już dwa i pół miesiąca!

— Ognie więc podziemne wykluwały się przez dziesięć tygodni i dziwu nie ma tedy, że obecnie rozwijają się z taką gwałtownością!

— Czy nie czujecie jakby drzenia ziemi? — zapytał Cyrus Smith.

— W istocie — odrzekł powoli korespondent — ale ztąd jeszcze do trzęsienia ziemi...

— Ja też nie twierdzę, że nam zagraża trzęsienie ziemi — odpowiedział Cyrus Smith — i niechaj nas Bóg od niego zachowa! Bynajmniej. To drzenie jest wynikiem natężenia ognia wewnętrznego. Kora ziemska jest niczem innem, jeno ścianą kotła parowego, a wiadomo wam, że ściana kotła pod naciskiem gazów drzy jak dźwięczna płyta. Takie to właśnie zjawisko mamy w tej chwili przed sobą.

— Co za wspaniałe snopy ognia! — zawołał Harbert.

W tej chwili trysnął z krateru rodzaj fajerwerku, którego blasku nawet wyziewy zmniejszyć nie zdołały. Tysiące lśniących się ułomków i ostrościętych głazów, rozpryskiwało się na wszystkie strony. Niektóre, przenosząc kopułę dymów, pękały gwałtownie, pozostawiając po sobie istną pałającą kurzawę. Wybuchowi temu towarzyszyły następujące po sobie bez przerwy wystrzały, przypominające trzask i darcie powietrza, wywołane wystrzałem całej baterji kartaczownic.

Cyrus Smith, korespondent i towarzyszący im młodzieniec, przebywszy całą godzinę na Wielkiej Terasie, zeszli napowrót na wybrzeże i powrócili do Granitowego Pałacu. Inżynier był zamyślony, zatroskany nawet do tego stopnia, że Gedeon Spilett uznał za potrzebne spytać go, czy przeczuwa jakie bliskie niebezpieczeństwo, będące pośrednim lub bezpośrednim wynikiem wybuchu.

— Tak — i nie — odpowiedział Cyrus Smith.

— Czyż jednak — podjął znowu korespondent — największem nieszczęściem, jakie by nas mogło ugodzić, nie byłoby trzęsienie ziemi, któreby przewróciło z gruntu wyspę? Otóż, tego nie zdaje mi się, ażebyśmy się obawiać potrzebowali, ponieważ wyziewy i lawy znalazły wolną drogę do wylania się na zewnątrz.

— To też — odparł Cyrus Smith — ja nie obawiam się trzęsienia, w rozumieniu jakie się nadaje zwyczajnie konwulsjom globu, wywołanym przez napad wyziewów podziemnych. Ale inne przyczyny mogą sprowadzić straszne klęski.

— Jakieżto, mój drogi Cyrusie?

— Nie potrafię na to opowiedzieć jeszcze gruntownie — muszę się przyjrzeć, muszę odwidzić górę. Nim kilka dni minie, będę już miał wyrobione w tej kwestji przekonanie.

Gedeon Spilett nie napierał i wkrótce, pomimo wystrzałów wulkanu, których natężenie rosło — a wszystkie echa wyspy je powtarzały — otóż pomimo tego wszystkiego mieszkańcy Granitowego Pałacu w śnie głębokim się pogrążyli.

Upłynęły trzy dni, 4 5 i 6 stycznia. Praca około budowy okrętu nie ustawała — a inżynier nie wdając się w bliższe objaśnienia, napędzał całą swoją powagą do pospiechu. Góra Franklina miała w tej chwili na sobie kaptur z ciemnego obłoku, groźnej powierzchowności, i wraz z płomieniami wyrzucała rozpalone skały, z których wiele spadało napowrót w krater. Ta okoliczność wywoływała na usta Pencroffa — uparcie oceniającego ten fenomen tylko z jego stron zabawnych — następującą uwagę:

— Patrzajcie! Olbrzym bawi się kubkiem z gałką! (bilboguet) — olbrzym pokazuje sztuki.

I w istocie wyrzucone już ciała spadały napowrót w otchłań i nie zdawało się, iżby lawy, wzdęte przez nacisk wewnętrzny podniosły się już aż do otworu krateru. Wyżłobione przez lawy koryto u brzegu krateru z północo-wschodniej strony, widzialne w części, nie przeprowadzało żadnego strumienia na stok północnej góry.

Wśród tego, jakkolwiek nagliła praca około budowy okrętu, i inne jeszcze zajęcia wymagały obecności osadników na rozmaitych punktach wyspy. Przedewszystkiem trzeba było udać się do zagrody gdzie stado dzikich baranów i kóz znajdowało się w zamknięciu, aby odnowić zapas karmu dla tych zwierząt.

Stanęła tedy umowa, że Ayrton pospieszy tam nazajutrz 7 stycznia — a ponieważ on sam mógł wystarczyć robocie, oczekującej w zagrodzie, do której był zresztą nawykły; pewne zdziwienie przeszło tedy Pencroffa i innych, gdy usłyszeli jak inżynier odezwał się do Ayrtona.

— Skoro pan idziesz jutro do zagrody, będę ci towarzyszył.

— Ach! panie Cyrusie — zawołał na te słowa marynarz, nasze dni pracy policzone, a jeżeli pan sobie w ten sposób urządzisz wycieczkę — przyprawi to nas o stratę czterech rąk!

— Jutro powrócimy — odrzekł Cyrus Smith — a co do mnie potrzebuję być w zagrodzie. Pragnę rozpoznać jak się mają rzeczy z wybuchem...

— Wybuchem! wybuchem!... — zawołał Pencroff, z miną wielce niezadowoloną!... Co mi to za ważna rzecz ten wybuch, z którego ja nic sobie nie robię!

Pomimo jednak protestacyj marynarza, wycieczka zamierzona przez inżyniera utrzymała się na dzień jutrzejszy. Harbert byłby chętnie towarzyszył Cyrusowi Smithowi, ale bał się zrobić przykrość Pencroffowi, oddalając się.

Nazajutrz o świcie, Cyrus Smith i Ayrton, na wózku zaprzężonym w oba onaggasy, skręcili drogą do zagrody i tęgim nią kłusem popędzili.

Po nad lasem przelatywały grube chmury, którym krater góry Franklina dostarczał bez przerwy materji sadzowatych. Chmury te, toczące się często w przestworzu, składały się widocznie z substancyj somorodnych. Jawnem było że nie samym tylko dymom wulkanu zawdzięczały swój ciężar i nieprzezroczystość. Pył szczątków mineralnych jak np. puzzolana w proszku i szarawe popioły, tak delikatne jak najsubtelniejsza mączka, wisiały zawieszone w pośród grubych zwojów tych chmurzysk. Popioły te mają taką trwałość, że widziano je nieraz utrzymujące się w powietrzu całemi miesiącami. Po wybuchu z r. 1783 w Islandji, przez więcej niż rok powietrze było w ten sposób przeciążone pyłami wulkanicznemi, przez które zaledwie przebić się mogły promienie słońca.

Najczęściej jednak takie materje sproszkowane opadają na dół i tu właśnie zaszło coś podobnego. Cyrus Smith i Ayrton zaledwie przybyli do zagrody, gdy rodzaj czarniawego brzegu, podobnego do lekkiego myśliwskiego prochu, spadł nagle i zmienił w mgnieniu oka powierzchowność otaczającego ich gruntu. Drzewa, łąki wszystko znikło pod pokładem mającym grubości wiele cali. Na szczęście jednak wiatr pociągał od północo-wschodu i największa część chmury poszła rozsypać się nad morzem.

— Oto czas osobliwy, panie Smith — ozwał się Ayrton.

— I rzecz ważna — odrzekł inżynier. Ta puzzolana, te pumeksy sproszkowane, słowem ta cała kurzawa mineralna, wskazuje jak głęboki zamęt odbywa się w warstwach niższych wulkanu.

— Nie możnaż jednak co na to poradzić?

— Nie — chyba zdać sobie sprawę z postępu fenomenu. Zajmij się więc Ayrtonie wszystkiem, co jest do zrobienia w zagrodzie. Ja zaś, przez ten czas, pójdę w górę aż po za źródła Czerwonego potoku i zbadam stan góry na jej stoku północnym. A potem...

— A potem... panie Smith?

— A potem odwidzimy kryptę Dakkara... Chcę widzieć... No, koniec końców — przybędę po ciebie za dwie godziny.

Po wysłuchaniu tego, Ayrton wszedł w podwórze zagrody i w oczekiwaniu na powrót inżyniera, zajął się baranami i kozami, które zdały się uczuwać pewien niepokój wobec pierwszych oznak wybuchu.

Przez ten czas zaś Cyrus Smith zapędził się aż na grzbiet wschodniej ściany, okrążył Czerwony potok, i doszedł wreszcie do miejsca gdzie towarzysze jego odkryli zródło siarczane, w czasie pierwszej ich wycieczki.

Rzeczy się od tego czasu ogromnie zmieniły. Zamiast jednej kolumny dymu, naliczył ich trzy-

*

dzieści wybuchających z ziemi, jak gdyby je gwałtownie wypierał z pod spodu stempel jaki. Jawnem było, że kora ziemska podlegała w tym punkcie przerażającemu naciskowi. Atmosferę przesycał gaz siarczany, wodoród, kwas węglany wszystko to w połączeniu z wyziewami wodnemi. Cyrus Smith czuł jak drżą mu pod nogami owe tufy wulkaniczne, któremi cała przestrzeń tu była zasiana, będące niczem innem jeno popiołami, zamienionemi przez czas w twarde bryły.

Dotychczas jednak nie spostrzegł inżynier nigdzie śladu nowych law.

Dokładniej jeszcze sprawdził to, obserwując cały stok północny góry Franklina. Tumany dymu i płomieni wyrywały się z krateru; grad łuszczyn i szczątków metalicznych spadał na ziemię; ale najmniejszy wylew lawy nie odbywał się przez gardziel samą krateru, co dowodziło, że poziom materyj wulkanicznych nie doszedł dotychczas do wyższego otworu głównego komina.

— A wolałbym, żeby już tak było! — rzekł sam do siebie Cyrus Smith. Miałbym przynajmniej pewność, że lawy poszły zwykłą swoją drogą. A któż wie czy się nie przeleją przez jaką nową paszczę? Niebezpieczeństwo jednak i nie w tem jeszcze! Kapitan Nemo wybornie przeczuwał! — Nie, niebezpieczeństwo nie tutaj!

Tak mówiąc z sobą Cyrus Smith posunął się aż do olbrzymiej drogi, której przedłużenie obraniało wąską zatokę Rekina. Mógł więc obejrzeć dostatecznie z tej strony stare smugi lawy. Nie pozostawało dlań najmniejszej wątpliwości, że ostatni wybuch miał miejsce nadzwyczaj oddalonej epoce.

Wówczas, wrócił się, nadstawiając ucha na turkoty podziemne brzmiące jakby nieprzerwany grzmot, akcentowany tylko mocnemi wystrzałami.

O dziewiątej rano był już z powrotem w zagrodzie.

Ayrton czekał na niego.

— Zwierzęta zaopatrzone już — panie Smith — rzekł, witając go.

— Bardzo dobrze, Ayrtonie.

— Zdają się być niespokojne, panie Smith.

— Nic dziwnego, instynkt u nich się odzywa, a instynkt nigdy nie myli.

— Jeżeli pan chce, ażebyśmy teraz...

— Weź ze sobą pochodnię i przyrząd do krzesania ognia, Ayrtonie — odrzekł inżynier — i ruszajmy.

Ayrton wykonał, co mu polecono. Onaggasy wyprzężone błądziły po zagrodzie. Bramę zamknięto z zewnątrz i Cyrus Smith, poprzedzając Ayrtona skręcił ku zachodowi, wąską ścieżką wiodącą ku wybrzeżu.

Obadwaj szli po ziemi wywatowanej przez sproszkowane materje, spadłe z chmury. Żaden czworonog nie pojawił się w lasach. Nawet ptaki gdzieś poznikły. Niekiedy przelotny wiatr podejmował warstwę popiołu i dwaj osadnicy, zawinięci nieprzezroczystym tumanem, nie widzieli się nawzajem. Zwykle w takim razie nie zapominali o zasłonięciu sobie chustką oczu i ust, ponieważ tuman podobny groził im oślepieniem i uduszeniem.

Cyrus Smith i Ayrton nie mogli w takich warunkach iść żywo. A nadto powietrze było ciężkie, jak gdyby tlen jego w części spłonął i stał się do oddychania nieprzydatnym. Co sto kroków musieli stawać dla pochwycenia oddechu.

Było więc już po dziesiątej, gdy inżynier i jego towarzysz dotarli do grzebienia owej niezmiernej gromady skał bazaltowych i porfirytycznych, która stanowiła wybrzeże północno-zachodnie wyspy.

Ayrton i Cyrus Smith poczęli zstępować z tego stromego wybrzeża idąc mniej więcej tąż samą niegodziwą drogą, która w pośród owej burzliwej nocy przywiodła ich do krypty Dakkara. W biały dzień schodzenie to było mniej niebezpieczne, a zresztą warstwa popiołów, okrywająca gładkość skał, pozwalała mocniejszego oparcia nodze na tych pochyłościach.

Maleńkie rozgałęzienie góry, stanowiące przedłużenie wybrzeża, na wyżynie około czterdziestu stóp, wkrótce pokazało im już kres swój. Cyrus Smith przypomniał sobie, że rozgałęzienie owo schylało się łagodnym spadkiem aż nad sam poziom morza. Jakkolwiek trwał w tej chwili odpływ, wybrzeże jednak nie było odsłonięte i fale, zbrudzone pyłem wulkanicznym uderzały bezpośrednio o skały już w morze wysunięte.

Cyrus Smith i Ayrton odszukali bez trudu wejście do krypty Dakkara i zatrzymali się pod ostatnią skałą, tworzącą rodzaj nadmorskiego progu.

— Łódź z blachy żelaznej musi tam być? — ozwał się inżynier.

— Jest panie Smith — odrzekł Ayrton, przyciągając do siebie lekki statek ukryty pod arkadą.

— Siadajmy Ayrtonie.

Dwaj osadnicy usiedli w łodzi. Lekkie zakołysanie się fal posunęło ich nieco głębiej pod sklepienie pochyłe krypty, a tam, Ayrton, skrzesawszy ognia, zapalił latarnię, potem zaś, pochwycił za wiosło, postawiwszy jeszcze pierwej latarnię na dziobie czółna, tak aby rzucała światło naprzód. Cyrus Smith ujął za ster i skierował łódź w pośród mroków krypty.

Już tu nie było *Nautilusa* co by olśnił ogniami swemi tę ponurą jaskinię. Może promieniowanie elektryczne, podsycane wciąż przez swoje potężne ognisko, trwało jeszcze na dnie wód; żaden jednak blask nie dobywał się z otchłani, kędy spoczął kapitan Nemo.

Światło latarni, jakkolwiek niewystarczające, pozwalało jednak inżynierowi posuwać się naprzód, przy staranném trzymaniu się prawego boku krypty. Grobowe milczenie panowało pod tem sklepieniem, przynajmniej w części jego przedniej, ponieważ wkrótce Cyrus Smith usłyszał wyraźne powark dobywający się z wnętrzności góry.

— To wulkan — rzekł.

Za chwilę, razem z tym odgłosem i połączenia chemiczne zdradziły się żywym zapachem — i wyziewy siarczane chwyciły za gardło inżyniera i jego towarzysza.

— Oto czego się obawiał kapitan Nemo! — szepnął Cyrus Smith — i twarz mu lekko pobladła. — A jednak trzeba dojść aż do kresu.

— Dalej więc — odrzekł Ayrton, zgiąwszy się nad wiosłami, i popchnął łódź ku węzgłowiu krypty.

We dwadzieścia pięć minut po wpłynięciu do groty, łódź przybiła do ściany zamykającej ją i tam się zatrzymała.

Wówczas Cyrus Smith, wszedłszy na swoją ławę oprowadził latarnię po różnych częściach tej ściany, oddzielającej kryptę od środkowego komina wulkanu. Jakaż była grubość tej ściany? Sto stóp, czy dziesięć — na to nikt nie był od-powiedzieć zdolny. Ale odgłosy podziemne zanadto dobrze dawały się pochwycić, ażeby ściana miała być zbyt grubą?

Inżynier obejrzawszy mur w kierunku linji horyzontalnej, osadził następnie latarnię na końcu wiosła — i począł ją obwodzić na większej wysokości po bazaltowej ścianie.

Tam, przez ledwo widzialne szczeliny, przez źle połączone pryzmy dobywał się dym gryzący, zagęszczający powietrze jaskini. Pęknięcia ostrzyły ścianę, a niektóre ostrzej zarysowane dochodziły prawie do wysokości dwóch do trzech stóp po nad poziom wody w krypcie.

Cyrus Smith przebył naprzód kilka chwil w głębokiej zadumie. Potem zaś wyszeptał jeszcze te słowa:

— O tak! kapitan miał słuszność! Tu się kryje niebezpieczeństwo i niebezpieczeństwo straszliwe!

Ayrton nie rzekł nic na to — tylko na znak Cyrusa Smitha pochwycił znowu za wiosło — i w pół godziny potem on i inżynier wychodzili już z krypty Dakkara.

(C. d. n.)

Kronika naukowa.

W czasopiśmie *Engineering* znajdujemy opisanie ślizgawki sztucznej w Londynie z lodu prawdziwego, która trwać będzie przez całe lato i w czasie największych upałów mieszkańcy miasta tego będą mogli używać przyjemności jeżdżenia na łyżwach. Już oddawna proponowano najrozmaitsze sposoby robienia sztucznego lodu za pomocą mięszanin oziębiających, pozwalających otrzymywać lód niezależnie od pory roku, lecz o ile wiadomo, nigdzie nie zostało to zastosowanem i zadowalano się od lat paru jazdą na łyżwach opatrzonych kółkami po asfaltowej lub cementowej powierzchni w tak zwanych „skating rinks.“ Dopiero teraz udało się p. Gamgee po długich poszukiwaniach, wynaleść sposób taniego wyrobu lodu na większą skalę i tym sposobem rozwiązać zadanie. Na King's road, Chelsea, zbudowano obecnie tak zwane „Glaciarium,“ w którem lód utrzymuje się dotąd od stycznia i amatorowie ślizgania się są zupełnie zadowoleni. Ślizgawka ta nie jest jeszcze publiczną, lecz odnajętą pewnemu towarzystwu. Długość jej wynosi stóp 24, a szerokość 16. Dno jest wyłożone betonem, na którym leżą obok siebie rury prostokątne z surowca, przez które przepływa ciągle płyn oziębiony znacznie poniżej zera. Rury są zalane wodą, pokrywającą je na dwa cale. W skutek silnego zimna rur, woda zamarza i tworzy równą powierzchnię, po której się ślizga wyśmienicie. Obok ślizgawki jest ustawiona maszyna, która oziębia płyn w rurach przepływający, składający się z mięszaniny wody i gliceryny. Dotąd proponowano zwykle roztwory soli rozmaitych, lecz się okazało, że takie roztwory szkodzą ścianom rur działając galwanicznie i chemicznie, i mięszanina użyta przez Gamgee'go jest najważniejszą częścią jego wynalazku. Mięszanina ta oziębiona w tak zwanym Refrygeratorze (oziębiaczu) pompuje się w górę po nad poziom ślizgawki do zbiornika, i ztąd z powodu siły ciążenia przepływa powoli przez wspomniane wyżej surowcowe rury, wraca nareszcie do oziębiacza i znów się pompuje do zbiornika. Nim się jednak ta ciecz dostanie do oziębiacza głównego, przechodzi wprzód przez inny mały,

w którym mięszaniną oziębiającą jest proch z lodu powstający od jeżdżenia i sól z nim zmięszana.

Wiadomo, że jeżeli polejemy na rękę kroplę eteru lub nawet spirytusu, to czujemy zimno przy wysychaniu, bo eter lub spirytus pochłaniają przy swem ulatnianiu się wielką ilość ciepła. Otóż na tem opiera się przyrząd służący do oziębiania mięszaniny wody i gliceryny. Przez naczynie, w którem jest eter, przechodzą rury napełnione wspomnianą mięszaniną. Pompa powietrzna poruszana parą, sprowadza ulatnianie się eteru, który w stanie pary przechodzi do kondensatora, gdzie się zgęszcza i znów wraca do oziębiacza. W ten sposób utrzymano od stycznia aż dotąd ciągłe krążenie eteru i mięszaniny, przepływającej w rurach pod ślizgawką, potrzeba było tylko dodawać w skutek ulatniania się na zewnątrz, małe ilości eteru. Nawet jeżeli maszyna się zepsuła i stać musiała przez kilka godzin, to lód w ślizgawce nie topniał wcale, bo zapas zimnego płynu wystarczał na czas dłuższy.

Ślizgawka obecnie istniejąca była rzeczywiście tylko próbą i teraz jest już na ukończeniu inna znacznie większa (40′ na 24′) z galerjami dla widzów. P. Gamgee wprowadza w niej wiele nowych ulepszeń i niedługo ta dla zdrowia pożyteczna i szczególniej w czasie lata przyjemna zabawa, stanie się dla ogółu przystępną. Przedsiębiorcy krzątają się obecnie w Paryżu, na polach Elizejskich, około urządzenia czegoś podobnego. Przestrzeń przez lód zajęta wynosić będzie 1500 metrów.

* * *

Pan Siemens mówił na jednem z ostatnich piątkowych posiedzeń londyńskiego królewskiego towarzystwa o działaniu światła na pierwiastek s e l e n. Prelegent zwrócił przedewszystkiem uwagę na to, że chociaż Newton postawił niewzruszone podstawy w teorji światła, jednakże nowym uczonym pozostawione było znalezienie działania bezpośredniego promieni świetlnych na ciała; nawet ujęcie tego w celach praktycznych jak np. w fotografji. Inny przykład działania promieni mamy na fosforescencji rozmaitych soli, które wystawione na działanie światła i wniesione do ciemnego pokoju świecą własnem światłem różnej barwy. Crookes wskazał jeszcze innego rodzaju działanie, o którem już parę razy wspominaliśmy. Zresztą widzimy to jeszcze na roślinach, w których działaniem słońca kwas węglowy zostaje rozłożony na tlen i węgiel, stanowiący najgłówniejszą część roślin, tę część, którą potem na opał używamy. Słusznie Moleschott powiedział, że „rośliny są to istoty utkane z powietrza przez słońce.“ Inne jeszcze działanie odkryte zostało niedawno na selenie. P. May, urzędnik biura telegraficznego w Walencji, zauważył, że kawałek krystalicznego selenu, używanego w telegrafach dość często tam, gdzie potrzeba silnego elektrycznego oporu, stawia znacznie słabszy opór prądowi elektrycznemu, jeżeli jest wystawiony na światło, aniżeli w ciemności. O faktach tych wiedziano już w 1873 r., lecz dotąd nie zwracano na nie uwagi. Wydawało się to nadzwyczaj nieprawdopodobnem, żeby powierzchowne działanie promieni świetlnych, mogło tak wpływać na cząstki ciała, że te ostatnie pozostawiają wolne przejście prądowi. W ostatnim roku prof. Adams w Anglji i Dr. Werner Siemens w Niemczech, zajęli się zbadaniem tego zjawiska i doszli do nadzwyczaj ciekawych rezultatów. Selen przedstawia zwykle brunatną, bezkształtną masę o muszlowym odłamie. W takiej formie nie jest przewodnikiem elektryczności, lecz skoro się kawałek takiego selenu włoży na chwilę do gotującej się wody, to staje się krystalicznym i przeprowadza prądy elektryczne. Pan Siemens przedstawiał na posiedzeniu małe przyrządy, pokazujące właśnie wpływ światła na przewodnictwo tego pierwiastka. Z pomiędzy nich najciekawszym był mały instrument, który wynalazca nazwał selenowem „okiem,“ składający się z kuli, mającej w dwóch przeciwległych stronach otwory. W jednym z nich znajduje się soczewka taka jak w oku naszem, a w drugim blaszka selenowa przedstawiająca siatkówkę. Pod wpływem silniejszego lub słabszego światła, dwie sztuczne powieki okrywające całą kulę, zamykają się lub też otwierają. Raz selen przeprowadza prądy galwaniczne, drugi raz jest nieprzewodnikiem. Okazało się, że nietylko natężenie światła, lecz i jego barwa mają wpływ na stopień przewodnictwa. Ta analogja z działaniem powiek oka naszego, narażonego na blask niespodziany, może rzucić pewnego rodzaju światło na bezwiedne zamykanie powiek w takich razach.

B. Kiewlicz.

Długosz o Elżbiecie trzeciej żonie Jagiełły.

Napisał

ANTONI PROCHASKA.

(Ciąg dalszy).

Dokument ten jest jak najsilniejszem poparciem Długosza. W ostatnich słowach Wielkopolan wyczytujemy Długoszowe: vituperium et prosperium Poloniae; z całego zaś przekonywujemy się, że relacja Długosza o sprzeciwianiu się Wielkopolanina Sędziwoja Ostroroga jest prawdziwą. Wreszcie dochodzimy do rozumienia słów Długosza: Jadwiga smutna i strapiona powitała ojca i matkę. Nakoniec potwierdza się tu znane nam już zdanie Długosza, że Władysław męskiemu potomstwu chciał tron polski zostawić, gdy koronacją swej żony wykluczał córkę od następstwa tronu.

Z zestawienia zdań powyżej przytoczonego listu krzyżackiego z krótkiemi wzmiankami u Długosza i z następną wzmianką u dopełniacza Szamotulskiego[1]): *Ex hac domina Anna Wladislaus rex alteram filiam suscepit, quam in baptizmo Hedwigim ńominavit, que hucusqe matre iam mortua in virginitate florida permanente, patre nescitur quo animo eam marito tradere non curante...* dowiadujemy się, że pruski historyk Voigt[2]) ma zupełną słuszność gdy mówi, iż koronacji Elżbiety nie chciano dopuścić, gdyż Jadwiga, córka króla, była najbliższą spadkobierczynią korony polskiej. Potwierdza to zdanie Jan z Posilge, współczesny kronikarz Zakonu krzyżackiego mówiąc[3]): *adir die Polen wolden sie* (t. j. Elżbietę) *uff die czeit nicht lassin cronen. Zczu dem Lande wor eyne frowe, doch des Koniges tochter wille, dy her hatte von des Greven tochter von Zcele, die eyn erbe was zou dem Riche. etc.*

Zreasumowawszy to, cośmy tu przetoczyli, dowiadujemy się, że był oprócz innych, jeszcze i prawny powód niechęci Polski przeciwko Elżbiecie Granowskiej.[1]) Długosz snać przemilczał o sprawie która czasowe tylko miała znaczenie nie wywierając na losy Polski żadnego wpływu. Atoli w jego słowach o Jadwidze „angustia et moerore plena,“ dorozumiewał się każdy współczesny o niedopełnionej względem niej przysiędze. Za czasów Elżbiety Granowskiej zwano ją „iuvenis Regina“ jak to świadczą „rachunki“ wydane przez Zeissberga. Konstytucja Jedleńska już w swym planie z 1425 wysunęła Jadwigę od kompetencji do tronu polskiego. Sędziwój Ostroróg wprawdzie starał się zabezpieczyć 1420 r. Jadwidze koronę po Jagielle przez małżeństwo z Fryderykiem synem margrabiego Brandeburgskiego,[2]) ale ani to małżeństwo ani też później rajone z Bogusławem Słupskim książęciem.[3]) nie przyszło do skutku z nieznanych dla nas powodów. Roku 1431 dnia 15 sierpnia umiera Jadwiga, a jak się współcześni zdaniem Długosza dorozumiewali, z powodu zadanej jej trucizny.[4])

Nadmieniliśmy o losach Jadwigi, która była prawną zaporą przeciwko koronacji Elżbiety, i powodem dla którego się Wielkopolanie tej koronacji opierali. Skonstatowaliśmy i tu zupełną wiarogodność Długosza, że przyczyny do niechęci względem Elżbiety jakie on podaje istniały w rzeczywistości u współczesnych, że nie są więc wymysłami Długosza jak to się wydawało Dr. Carze.

Z takich to przyczyn było i duchowieństwo polskie niechętne królewskiemu małżeństwu a miało nadto i inne do tej niechęci powody. Elżbieta bowiem była złączona duchownem powinowactwem z Jagiełłą, gdyż jej matka, jak wiemy, była chrzestną króla. Był to na owe czasy wielki skopuł i przeszkoda w małżeństwie królewskiem, to też król starając się je usunąć wysłał do Rzymu[5]) Andrzeja z Kokorzyna celem uzyskania dyspenzy. Oczywiście że Długosz o tem nie zapomina gdy mówi o wieszczbach i zaćmieniu słońca po dopełnionym obrządku ślubnym, co snać według rozumienia Długosza ma oznaczać, że i Bogu nie było miłe to małżeństwo. Jest to pragmatyzowanie wcale nie tendencyjne. O takiem zaćmieniu słońca lecz nie „dominica Sancti Sigismundi usque ad terciam horam[6])“

---

[1]) Bielowski Monumenta. II.

[2]) Voigt. Geschichte Preussens VII. str. 304.

[3]) Wydanie Voigta: 323, 323.

---

[1]) Caro nie rozumiejąc snać aktu krzyżackiego któryśmy powyżej przytoczyli powiada: (Gesch. Pol. III. 483. Uwaga 1.) „Man sieht daraus dass es Sippeneifersucht war, unter welcher Elisabeth leiden musste.“ Elżbieta atoli, jakeśmy widzieli, była tylko powodem do przypomnienia tej rodzinnej zawiści Wielko- a Małopolanów, jużto jako Małopolanka, już że koronacja jej miała się odbyć w Kakowie. Ale nieuznanie jej jako królowy przez Wielkopolanów polegało w prawnym ich wywodzie a zresztą i dla niechęci, jaką względem Elżbiety wraz z całą Polską żywili — wszakżeż sarkają na „stan Elżbiety, z jakiego to nigdy nie bywały królowe w Polsce.“

[2]) Dł. XI. 436.

[3]) Dł. XI. 451.

[4]) Dł. XI. 600. Nadmieniamy, iż takie posądzenia w XV a nawet XVI stuleciu są bardzo częste. Powód do takich posądzeń szukac należy w ówczesnej sztuce lekarskiej, która na bardzo niskim stopniu stała. Dowiadujemy się z Helcla. II, zapiska 3562, str. 634, że z urzędu „barbitonsor,“ otrzymywał podówczas godność i tytuł i „medicus“ — a trzymał u siebie posługacza, który zapewne i golić nie umiał — co atoli zupełnie mu nie przeszkadzało, aby nie miał z polecenia swego pana leczyć ludzi. (medicavit!)

[5]) Dł. XI. 381.

[6]) Dł. XI 380..... (dies) fuisset lucida et clara, regio tamen contractu matrimoniali perfecto, subita et in continenti, solis obscurata claritate, calignosa dies esse coepit. etc.

tj. 2 maja, lecz „in crastino Sancti Viti feria sexta hora quasi tercia“ mówi przytaczany już raz kontynuator Szamotulskiego rocznika Traski. Według kontynuatora, wypadałaby data zaćmienia na dzień 16 czerwca (1417 r.) Przypuściwszy nawet że w oryginale rocznika stoi „Vitalis“ więc in crastino byłoby 30 kwietnia, a zatem i w tym razie data zaćmienia nie zgadzałaby się z Długoszową — co atoli świadczyć może tylko o pragmatyczności Długosza nigdy zaś o jego tendencyjności. Być może, że Długosz źle wyczytał datę zaćmienia, a może kontynuator się pomylił, w każdym jednak razie należy usprawiedliwić pragmatyzowanie Długosza jakie nawiązuje do przypadku, który się naówczas miał wydarzyć małżeństwu. Wszakże i po dziś dzień wróżymy w podobnych razach, a cóż dopiero w wieku XV? Pragmatyzowanie Długosza jest tu tak dziecięco-naiwne a niewinne, że w niem tendencyjność nie może nawet istnieć. Oby tylko takie było u Długosza pragmatyzowanie, nie obwinialibyśmy o nie naszego historyka. Z tego atoli ustępu wyczytujemy tę prawdę, że jeżeli cała Polska dla stanu, wieku i choroby Elżbiety niechętnie na małżeństwo króla patrzała, jeżeli Wielkopolanie z politycznych przyczyn na jej koronacją nie dali swego zezwolenia, to duchowieństwo polskie widząc w związku króla także przeszkodę kanoniczną, z tego jeszcze powodu mogło przejąć się niechęcią ku Elżbiecie.

Nie będziemy iść dalej krok w krok za opowieścią Długosza, która nawet w tak drobiazgowych rzeczach, jak w datach odjazdu, przybycia i pobytu królowej, jest zupełnie prawdziwą, jak to wykazał Zeissberg w swych „Rachunkach.“ Tak nawet postępując nie dowiedzielibyśmy się o charakterze, dziełach lub zaletach królowej — bo nawet szanowni rehabilitatorowie Elżbiety nic o nich nie wiedzą.[1]) Co im atoli nie przeszkadza zarzucać Długoszowi przesadność, złośliwość i fałsze. Otóż o dwóch jeszcze ustępach Długoszowych pomówimy, do których odnoszą się zarzuty Dr. Cary.

(C. d. n.)

POGADANKI.

XXIV.

Kiedy nad Wschodem chmurzy się widnokrąg, kiedy Anglja zbroi swoją flotę i wszechpotężne złoto na statki ładuje; kiedy Andrassy wespół z Bismarkiem nie wiedzą czego chcieć — a Gorczakow napróżno sam jeden wie czego chce— wtedy w Polsce głucha panuje cisza, bo polityka to „nie nasza rzecz!“ Wszak my politykujemy dopiero wtedy, gdy nas już nikt słuchać nie myśli...

Zamiast interpelacyj w delegacjach i innych im pokrewnych objawów naszej żywotności, my w domowem zaciszu sprzeczamy się czy *Szkoła* jest pismem pedagogiczno-dydaktycznem, i łamiemy sobie głowę, czy we Lwowie jest potrzebnym konkurs dramatyczny czy nie. Co do mnie, zdaje mi się, że taki konkurs wcale by nam nie zaszkodził choćby dla tego tylko, że może powołać do życia jaki nowy talent, o którym dotąd nic jeszcze nie wiemy. Gdyby nie konkursy w Krakowie i Warszawie, Polska możeby nawet nie wiedziała, że genjusz dramatyczny drzemiący w jej łonie ma już swoich przedstawicieli. *Niewinni* i *Ojciec Makary*, p. Okońskiego, *Posadnica Marta* i *Świętosław Igorowicz* p. Paulina Stachurskiego, nakoniec *Pojedynek szlachetnych* Sewera — oto dzieci konkursów krakowskiego i warszawskiego z lat ostatnich. Utwory p. Stachurskiego nie otrzymały wprawdzie pierwszej nagrody, lecz z tego co o nich mówią, śmiało wnosić możemy, że są to prace świadczące głośno o prawdziwym talencie ich twórcy. Pan Sewer zaś, który pod tym pseudonimem karjerę literacką rozpoczął w *Tygodniu*, musiał się także dobrze przedstawić, kiedy otrzymał drugą nagrodę w Warszawie. Jeżeli takie rezultaty osiągnęliśmy w dwóch ubiegłych latach, to czemu, pytam, konkursem utworzonym we Lwowie, nie mielibyśmy się przyczynić do nadania nowego impulsu naszej sztuce dramatycznej. Wszak 1000 guldenów na ten cel wystarczą, a suma to przecie nie tak wielka, byśmy się na nią zdobyć nie mogli. Mówią nam, że dyrekcja teatru chce przeznaczyć na ten cel 500 guldenów. Chcemy wierzyć, że wkrótce stanie się to faktem dokonanym, a wtedy dołożymy starań, by drugą połowę zebrać między przyjaciołmi i znajomymi. W całej tej sprawie dziwi nas atoli rzecz jedna. Prócz *Dziennika Polskiego* żadne pismo nie poparło naszego projektu. Jaki tego powód? Czy dlatego, że wyszedł od nas? Kiedyż nadejdzie w Galicji ta chwila, że rzeczy uczciwe i pożyteczne będą powszechnie popierane, bez względu na osobistości, które dały do nich inicjatywę! Co do nas, wolni od wszelkiej prywaty, jesteśmy gotowi poprzeć nawet nominalnego redaktora *Przeglądu Lwowskiego*, jeżeli choć raz uda mu się jaka myśl, mogąca dla kraju pożyteczne wydać owoce. Ale na to będziemy ponoś długo czekali...

* * *

My myślimy o konkursie, sfery zaś inne myślą o wyścigach, które z końcem bieżącego miesiąca odbędą się na piaszczystych równinach za rogatką Janowską. Według tego co nam mówiono, wyścigi tegoroczne wypadną świetniej, jak w latach ubiegłych, bo nie tylko że będą trwały trzy dni, lecz w dodatku dwunastu, czy nawet czternastu panów weźmie w nich czynny udział. Takie zamiłowanie do szlachetnego sportu końskiego na tem większe zasługuje uznanie, ile że w teraźniejszych czasach wojowniczych, my naród rycerski i wojowniczy, powinniśmy pokazać Europie, że mamy jeźdźców, którzy zajadą choćby nad Wołgę.... Taki objaw żywotności rasy galicyjskiej, zaszachuje jeszcze bardziej politykę księcia Gorczakowa, to też ani wątpię, że w lipcu Rossja będzie przemawiała tonem jeszcze mniej wojowniczym. Zdumiona Europa wkrótce się przekona do czego jesteśmy zdolni.

Na czas wyścigów zjedzie także do nas pani Modrzejewska i po trzykroć wystąpi w zimowym teatrze. Znakomita artystka miłym nam będzie gościem, tem milszem, że jak wieść niesie, więcej nie ujrzymy jej na naszej scenie. Przez wzgląd na zdrowie nadwątlone, pani Modrzejewska zamierza usunąć się całkiem z widowni. Jeżeli to prawda, sztuka dramatyczna straci na tem bardzo wiele, bo trudno o artystkę, którąby w równej mierze łączyła w sobie wszystkie warunki, zapewniające pierwszorzędne stanowisko na scenie.

Józef Rogosz.

Ze świata muzycznego.

Z nadejściem dni pięknych i ciepłych, spacery i ogrody tak wabią wszystkich na świeże powietrze, że zdaje się, iż w obecnej porze nawet prawdziwa primadonna z Palermo albo Lizbony juźby nie była w stanie ściągnąć do koncertowej sali lwowskiej publiczności. Dyrekcja teatru przewidująć tę letnią kanikułę, przeniosła swoje przedstawienia do nowej, a raczej tymczasowo przerobionej z cyrku, umyślnie na ten cel, świątyni sztuki, której daj Boże jak najlepszego powodzenia. Szkoda, że za przykładem teatru nie może pójść i galicyjskie Towarzystwo muzyczne, aby z tąż samą wygodą dla publiczności mogło dopełniać obowiązku względem swych członków i pokończyć doroczne koncerta. Rok przeszły był wyjątkowym i podobno jedynym, w którym Towarzystwo muzyczne dopełniwszy zaległości (a z których nigdy wyjść nie mogło) znalazło się nareszcie w zupełnym porządku. Utrzymanie tego porządku i nadal jak widać jest rzeczą za trudną dla przyzwyczajonej do bezładu instytucji, która posiadając jednego z najgenialniejszych artystycznych kierowników, jakim jest bez wątpienia p. Mikuli, nie umie dość wyzyskać jego dyrektorskich zdolności na korzyść publiczną. Członkowie dla tego wspierają rocznemi wkładkami Towarzystwo, aby im oddano koncerta w porze właściwej — koncertowej — nie zaś w ten czas, gdy większa ich część albo już się ze Lwowa porozjeżdżała, a tem mniej, żeby im pod czas największych upałów dusić się w sali kazano. Jeżeli więc Tow. muzyczne nie znajduje tego poparcia ze strony ogółu jakby należało, nie cała wina cięży na publiczności, którą raczej zachęcić nie zaś zniechęcać należy. „Jaka praca taka płaca!“

Wykonane w tym sezonie *Requiem* Verdi'ego bynajmniej zaniedbania tego nie usprawiedliwia, gdyż §. 12 statutów G. T. M. opiewa: *Oprócz koncertów zwyczajnych Towarzystwo urządzi co roku wedle możności jeden lub kilka większych koncertów nadzwyczajnych, tudzież pewną liczbę wieczorków muzykalnych.* Czyż możność ta zredukowaną jest do tego stopnia, że nawet zwyczajnych koncertów oddać członkom nie jesteśmy w stanie? Odpowiedź na to pytanie przewidujemy w użaleniu się na utrudnione stosunki artystyczne we Lwowie i na brak jedności w tutejszym świecie muzykalnym. Prawda, że jest nas dosyć na tem polu pracujących i że właściwie złączeni, o wiele moglibyśmy przyczynić się do podniesienia Towarzystwa, gdybyśmy na kształt niemieckich burszów, którzy dla odróżnienia się rozmaite noszą oznaki, nie byli podzieleni na różne koterje i zamknięte kółka, ale też w tem właśnie leży najpierwsze i najgłówniejsze zadanie Towarzystwa, aby systematycznym porządkiem swych czynności dać dobry przykład, a usprawiedliwiając tem samem cel, wpływać na połączenie sił wszystkich. O ile nas statuta Tow. pouczają, a zwłaszcza §. 28, główny nadzór nad czynnościami, rozwojem Tow. i dobrem tegoż spoczywa w rękach Wydziału, którego obowiązkiem jest odbywać w tym celu (§. 29) miesięcznie swoje posiedzenia. Gdzież jest ten Wydział i czy znalazł się choć raz w pełnym komplecie? Trudno wymagać korzystnych rezultatów jeżeli tenże Wydział zaledwie dwa lub trzy razy do roku i to nielicznie odbywa swoje posiedzenia, jeżeli w skład jego wchodzą członkowie, których stan Towarzystwa bynajmniej nie obchodzi, i którzy nie tylko w porze letniej ale we wszystkich czterech porach roku szczególniejszą czują predylekcję do miłego „*dolce far niente!*“ Z liczby dwunastu wydziałowych i zastępców, zaledwie dwóch lub trzech jest rzeczywiście czynnych, a ci sami rzecz prosta, nie wiele mogą zrobić; ztąd pochodzą zniechęcenia nawet najżyczliwszych dla Towarzystwa i to jest powodem, że nie jeden z mogących być więcej użytecznym dla Tow. woli wspierać Towarzystwo jako członek czynny niż wstąpić do Wydziału, w którym odpowiedzialność i praca wszystkich, spada na dwóch lub jednego. Dyrektor artystyczny zajęty jako kierownik i nauczyciel, nie jest ani w stanie ani też obowiązanym zajmować się częścią administracyjną; zresztą jako mianowany przez Wydział powinien od tegoż odbierać polecenia dotyczące wszelkich produkcyj. Wywiązując się godnie z zadania jako artystyczny kierownik, p. Mikuli czuł od dawna konieczną potrzebę zaprowadzenia w administracji jakiegoś porządku, a korzystając z doradczego głosu jaki służy

[1]) Moglibyśmy im wskazać jeszcze jeden szczegół w Liber beneficiorum (III. 31 i dalsze strony, 34,) zawarty może ten posłuży do raźniejszej rehabilitacji, gdy im „promotrix studii cracoviensis“ nie wystarcza.

dyrektorowi na posiedzeniach Wydziału, jeszcze na początku br. przedłożył temuż do uznania opracowany przez siebie w tym celu regulamin. O ile przypominamy sobie, podano w nim punkta dotyczące obowiązków dyrektora, nauczycieli, uczniów, tudzież zmiany i postanowienia co do ulepszenia administracji; jesteśmy przekonani że wprowadzenie tego regulaminu w życie byłoby z wielkim pożytkiem dla Tow. Rok szkolny się kończy, regulamin spoczywa w rękach Wydziału i do dziś dnia dzięki Bogu nic nie zrobiono. Tak żółwim krokiem postępują sprawy Towarzystwa, tak idą lata po sobie, i tak dalej idąc, kiedyś, gdy wszystkie inne stowarzyszenia wznosić sobie będą gmachy, Galicyjskie Towarzystwo Muzyczne nie mając własnej choćby skromnej siedziby, przeprowadzać się będzie zawsze z domu do domu w ulubionym przez siebie rynku, narzekając wiecznie na apatję niewdzięcznej publiczności. Czy wydobyć się z tego stanu jest rzeczą tak niepodobną i jakich do tego potrzeba zachodów, spojrzyjmy na Czerniowieckie Tow. Muz. które w d. 29 maja br. obchodziło uroczystość założenia kamienia węgielnego pod budynek dla swego Towarzystwa.

(Dok. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Niemiecka.

— Die Grenze zwischen Philosophie und exacter Wissenschaft. Von Johann Karl Becker. Berlin Weidmann'sche Buchhandlung, 1876.

Filozofowie niemieccy starają się w najnowszych czasach kwestje przyrodnicze poruszać i wyświecać. Atoli rzadko można się spotkać z dziełem, któreby temu zadaniu wszechstronnie odpowiadało. Cała rzecz polega u nich najczęściej na tem, aby wykazać, co ten lub ów filozof o tym lub owym przedmiocie wypowiedział, sam zaś autor bądź zgadza się z tem, bądź nie. Do tego rodzaju pism należy i powyższe dziełko. Sprawa w niem poruszana nie jest wprawdzie tak bardzo nową, traktuje bowiem o konieczności łączenia filozofji z naukami przyrodniczemi, a wychodząc ze stanowiska, że filozofja bada przedmioty krytycznie, zostawiając ostateczne rozwiązania tychże naukom przyrodniczym, nie stawia ścisłych granic między filozofją a naukami przyrodniczemi, lecz objawia życzenie, by kwestje filozoficzne rozstrzygano łącznie z temi naukami.

— Philosophische Consequenzen der Lamarck-Darwin'schen Entwickelungstheorie. Ein Versuch von Dr. Georg von Giżycki. Leipzig und Heidelberg, Wintersche Buchhandlung, 1876.

Rozprawka ta jest w pewnym związku z rozprawą powyższą Beckera. Autor uważa czas, w którym nastąpi zgoda między myślicielami a badaczami, za bardzo odległy. Autor wziął za przedmiot swej rozprawy, jak to sam tytuł wskazuje, na porządku dziennym stojącą teorję Lamarkowsko-Darwinistowską. Teorję tę stawia on na równi z teorją Kopernika i stara się oczyścić ją ze zarzutu materjalizmu i ateizmu.

Nowości

podawane przez księgarnię

SEYFARTA I CZAJKOWSKIEGO.

we Lwowie.

Mowa posła Juljana Dunajewskiego miana 6 grudnia 1875 r. w rozprawie ogólnej nad budżetem w Izbie deputowanych Rady państwa w Wiedniu. w 8ce, str. 32. Kraków 1876. 25 ct.

Okoński Wład. — Niewinni. Dramat w 3 aktach. — Antea Obrazek dramatyczny. w 8ce, str. 119. Kraków 1876. Zł. 1.

— Ojciec Makary. Dramat w 3 aktach. w 8ce, str. 69 Kraków 1876. Zł. 1.

Świętochowski Dr. Aleksander. — Ein Versuch die Enstehung der Moralgesetze zu erklären. Eine ethische Analyse. w 8ce, str. 85. Kraków 1876. Zł. 1.

Żuliński Dr. Tadeusz. — Wiara i wiedza. w 8ce, str. 59 Kraków 1876. 60 ct.

Simonin L. — Le monde américain. Souvenirs des mes voyages aux Etats-Unis. 8, 395. Paris 1876. Zł. 2·10.

Hauptursachen der letztzeitigen finanziellen Niederlagen in Oesterreich. Hilferuf eines alten Soldaten. 8. Lemberg 1876. 30 ct.

Pajgert Adam. — Poezje. Wydanie pośmiertne staraniem rodziny. Z portretem. 2ty, w 8ce. I str. 297. II str. 281. Lwów 1876. Zł. 4.

Pamiętniki Stanisława hr. Nałęcz Małachowskiego, Posła do Stambułu w czasie sejmu Czteroletniego, Jenerała wojsk polskich, Senatora, Kasztelana królestwa polskiego itd. Objaśnił, z manuskryptu francuskiego przełożył i wydał Wincenty hr. Łoś. w 8ce, str. 60. Lwów Zł. 1.

Przegląd archeologiczny. — Organ towarzystwa archeologicznego krajowego we Lwowie. Rok I zesz. I. w 8ce, 1876. Prenumerata wynosi rocznie Zł. 5.

Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych wydane przez krajowe biuro statystyczne pod redakcją Prof. Dr. Tadeusza Pilata. Rocznik trzeci. Zesz. I. w 8ce dużej. Lwów 1876. 80 ct.

Der Futterbau. Eine praktische Anleitung zum vortheilhaften Anbau sämmtlicher Futterpflanzen. Mit besonderer Berücksichtigung des Wiesenbaues und der Wiesenanlagen. Nebst Beschreibung und Abbildung der besten Futtergräser. Mit sechs lithographirten Tafeln. Herausgegeben von G. Schweizer 8. Schaffhausen 1876. 90 ct.

Die katholisch-conservative Partei in Deutschland und die Orientalische Frage. Von einem österreichischen Katholiken. 8. Wien 1876. 90 ct.

Lange Ludwig. — Römische Alterthümer. I Band. Einleitung und der Staatsalterthümer erster Theil. Dritte Auflage. 8. Berlin 1876. Zł. 5·40.

Meltzer Otto. — Pabst Gregor VII und die Bischofswahlen. Ein Beitrag zur Geschichte des Verhältnisses zwischen Staat und Kirche. Zweite, völlig umgearbeitete Auflage. 8. Dresden 1876. Zł. 2·40.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Sztuka i literatura.

— Maurycy hr. Dzieduszycki rozpoczął w naszem mieście szereg bardzo ciekawych odczytów o wykopaliskach w Pompei.

— Dzieł W. Pola wyszedł tom IV. Tom V wyszedł w ubiegłym kwartale. Z tym tomem kończy się połowa wydawnictwa. — Tom III dzieł T. T. Jeża, zawierający obszerną powieść pt. „Historja o praprawnuku" wyjdzie d. 1 lipca rb.

— P. Władysław Ordon dokonał przekładu znakomitego utworu poetyckiego Hammerlinga p. t. „Ahasverus in Rom."

— Dzieła „Choroby Galicji" zeszyt II opuścił prasę i zawiera: Lichwę żydowską i Sprawę żydowską. Kosztuje tak jak poprzedni 50 ct. chociaż jest znacznie większy od pierwszego. Otrzymać można we wszystkich księgarniach.

— Komitet przyszłej wystawy powszechnej w Paryżu, otrzymał już 94 planów na budowę gmachów wystawowych; z tych atoli żaden nie uzyskał zupełnego uznania komisji, i dla tego pierwsza nagroda nikomu jeszcze przyznaną nie została; rozdano tylko kilka nagród po 3,000 i 1,000 franków.

— Z dochodzących do Europy wieści, pokazuje się, że wystawie filadelfijskiej nie bardzo się szczęści. Najprzód przez cały maj panowały w całej niemal Północnej Ameryce deszcze i ulewy ciągłe; następnie cudzoziemcy skarżą się na wygórowanie cen, tak, iż wielu mieszka w Nowym Yorku i Hoboken, a taniej im to jeszcze wypada, choć muszą jeździć na wystawę koleją żelazną, która to droga, mimo pośpiesznej jazdy, trwa jednak kilka godzin. Wreszcie w samym komitecie centralnym wystawy ma istnieć rozdwojenie, które źle oddziaływa na zaufanie wiedzącej o niem publiczności. Na zamknięcie też wystawy w dni świąteczne powstają już nawet i amerykańskie dzienniki.

— Niedawno sprzedano w Pradze kremońskie skrzypce Stradivari'ego, własność katedry pragskiej, pewnemu amatorowi z Drezna za 2.250 złr. Skrzypce te były już od dawna w posiadaniu kapituły, a używano ich zwykle przy większych produkcjach choralnych podczas uroczystości. Najlepsze skrzypce Stradivari'ego przypadają na okres lat od 1700 do 1730.

— W kopalniach złota nowozelandzkich było zatrudnionych z końcem r. 1875: 14.039 Europejczyków i 4.103 Chińczyków. Ostatni przebywają najwięcej w Otago, Nelson, Auckland i Marlborough.

Wynalazek.

— P. Bourbouze, profesor fizyki w Sorbonie, wykonał świeżo cały szereg ciekawych doświadczeń wykazujących, że telegrafy elektryczne obejść się mogą zupełnie bez drutów, które zastąpionemi by zostały podziemnym prądem elektrycznym. P. Bourbouze kazał najprzód wkopać w ziemię dwa pale żelazne, w odległości 10 metrów jeden od drugiego, i takowe połączył galwanometrem. Gdy pale były wbite do jednakiej głębokości, galwanometer pozostawał zupełnie nieczułym; gdy atoli jeden z palów wbito głębiej niż drugi, igła galwanometru poczęła zaraz zbaczać od pierwotnego położenia, co posłużyło za dowód, że między takiemi dwoma palami istnieje prąd elektryczny podziemny. Następnie pan Bourbouze przedsięwziął doświadczenia na większą skalę i bardziej szczegółowe, które miały dokładnie wykazać zupełną możność urządzenia telegrafów elektrycznych bez drutów. Byłby to system, przedstawiający niemałą oszczędność i rozliczne a niemałe dogodności. P. Bourbouze już w roku 1870, podczas oblężenia Paryża, próbował za pomocą swego pomysłu urządzić komunikację oblężonej stolicy z prowincją; lecz zawarte w trakcie tego zawieszenie broni i następne wypadki, przerwały rozpoczęte przezeń próby, do których dopiero po zupełnem uspokojeniu kraju wziął się na nowo i już systematyczniej.

Podróże i zjawisko natury.

— Nietylko profeser Nordenskiöld podejmuje powtórne zbadanie żeglarskiej drogi na Sybir przezeń odkrytej, o czem donosiliśmy czytelnikom swojego czasu. Również Rossjanie zamierzają na statku parowym, umyślnie w tym celu zbudowanym, puścić się tego lata Jeniseiem na dół i przez morze Karyjskie, Północne i Wschodnie dotrzeć do Petersburga.

— Zachodni brzeg morza Kaspijskiego był widowiskiem ciekawego procesu wulkanicznego. W oddaleniu kilku mil morskich od tego brzegu, mianowicie nieco w północno-wschodnim kierunku od perskiej granicy, leży mała wysepka Los, własność rossyjska, od lat długich zupełną pustką stojąca. Posiada ona kilka kraterów, a te w ostatnich czasach poczęły tak gwałtownie odzywać się, że zdawało się iż cała wyspa do góry się podnosi. Całemi godzinami bywała pokrytą gęstym dymem i parą, a od czasu do czasu podnosił się z czarnych obłoków świecący słup lawy ognistej. Gdy działanie wulkanów ustało, okazało się, iż kształty wyspy doznały zupełnej przemiany, tak n. p. podczas gdy pierwej długość jej rozciągała się w kierunku z północy na południe, obecnie idzie ona z zachodu na wschód.

Szkolnictwo.

— Podług wiadomości zamieszczonej w czasopiśmie ministerjum oświecenia publ. liczba szkół elementarnych w cesarstwie rossyjskiem z wyłączeniem Finlandji, Kaukazu i Turkestanu wynosi 22.768; w nich uczy się 942.487 dzieci obojej płci; dziewczyn tylko 188.056, mniej niż 20% z ogólnej liczby.

Wojskowość.

— Nowe oszańcowanie Londynu, chroniące go przed możliwym napadem floty nieprzyjacielskiej, zostało obecnie nietylko wykończone, ale i uzbrojone nowemi i ciężkiemi działami. Przynajmniej tyczy się to w całem znaczeniu nowego fortu Cliff poniżej Gravesend, i naprzeciw leżącego Coalhouse Point. Również baterje nowe, przeznaczone dla fortu Shornmead, są już w należytem miejscu. Forty te w połączeniu z dawnemi, wszystkie uzbrojone olbrzymiemi działami najnowszej konstrukcji, odpowiadają zdaniem rzeczoznawców, w całej pełni wymogom obecnej sztuki wojowania.

ROZMAITOŚCI.

— Pozdrowienia są, jak wiadomo, stale przyjętemi formami, z pomocą których wyrażamy wobec drugich nasze uczucia, bądź to przyjaźni, bądź uszanowania i

szacunku. Często są one należnym jednych dla drugich haraczem, w większej jednak mierze polegają na zobopólnej uwadze, a kto pomija bezwzględnie obowiązki z tego tytułu na nim ciążące, ten ściąga na siebie usprawiedliwiony zarzut prostaka. Pilnemu spostrzegaczowi nawet sposób pozdrawiania staje się dostateczną skazówką podług której osądzi i sklasyfikuje pozdrawiającego. Forma pozdrawiania była dość różną w różnych czasach i stosunkach: raz wystarczał jeno znak niemy, to znowu łączono z nim kilka słów formułkowych, wyrażających jakieś życzenie. Pod względem rozmaitości sposobu pozdrawiania, śmiało w tym względzie zastosować można znane przysłowie: „Co kraj to obyczaj.“ Bo też, co u jednych oznacza wyszukaną, dajmy na to, grzeczność, u drugich uważanem bywa za nieokrzesanie i prostactwo. W nowszych czasach cywilizowane ludy Europy przyjęły za zwykły sposób witania, odkrywanie głowy. Zdaje się atoli, że dla ogółu stało się to normą dopiero w siedemnastem stuleciu; pierwej używano tego sposobu w obec wyższych i to w ściśle ograniczonej mierze. Najbardziej poufałą formą powitania jest pocałunek. W wielu krajach słowiańskich i niemieckich uważają sobie za święty obowiązek całować rączki pań. U Włochów uchodzi to tylko pomiędzy zażyłymi przyjaciołmi. Moskiewskie kobiety nie znoszą nigdy pocałunków składanych na rączkach, za to chętniej pozwalają całować się w czoła. W Anglji znowu pocałunek przy powitaniu uważanym bywa za rzecz nadzwyczaj nieprzyzwoitą. Drugim, mniej już poufałym rodzajem powitania jest krótkie życzenie. Życzymy sobie wzajem, dobrego dnia, dobrej nocy, dobrej zabawy itp. Przechodzień pozdrawia robotnika w polu życzeniem „szczęść Boże.“ Żołnierz pozdrawia starszego podniesieniem ręki do kaska, pochyleniem sztandaru i pałasza, prezentowaniem i salwą broni, stosownie do rangi tego starszego albo okoliczności. Popatrzmy teraz, jak radzą sobie w tej mierze ludy nie zaliczane do rzędu cywilizowanych. Lapończyk, przy powitaniu, dotyka nosem nosa drugiego, a na większych wyspach Cykladów krajowcy zwilżają sobie wzajemnie włosy. Starzy Frankowie, jak tradycja niesie, wyrywali sobie jeden włos, i wręczali go witanemu. Turek krzyżuje ręce na piersiach i w kornej postawie pochyla głowę przed pozdrawianym. Indjanie bengalscy witają się w ten sposób, że prawą ręką dotykają się czoła, kładą ją potem na piersi, lewą rękę wyciągają ku ziemi, i tak dopiero pochylają się głęboko. Mieszkańcy wyspy Luzon (Filipiny) pochylają ciało nisko, ręce kładą na szczękach, zginają obydwa kolana, poczem pochylają się tak nisko, jak tylko zdołają. Na niektórych wyspach nowych Filipin, pocierają sobie twarz ręką a nawet nogą witanego. Na Sumatrze pozdrawiający prosi tamtego o lewą nogę, klęka na ziemię i podaną mu nogą dotyka się czoła, piersi i kolan; następnie kładzie się na ziemię i w tej kornej pozycji pozostaje kilka sekund. W ogóle wszystkie powitania Wschodu jakiekolwiek one są, noszą dobitnie wyrytą cechę upodlającego niewolnictwa. Nadto ceremonjalnem bywa przyjęcie gościa u Persów. Gospodarz wybiega naprzeciw niego i stroi przeróżne grymasy, które mają oznaczać komplimenta grzeczne, potem szybko wraca do drzwi domu i tu powtarza tę samą komedję. U Chińczyków sposób powitania mężczyzn a u kobiet jest zupełnie różny. Kobietom zaś nie wolno przyjmować powitań od mężczyzn. U wszystkich wzorem obyczajności jest skromność posunięta do granic ostatnich. Gość chwali gospodarza i otoczenie jego nad miarę wszelką, gospodarz zaś w odpowiedzi gani siebie i swoich, nie zostawiając na nich jak powiadają, suchej nitki. Dzieci przed rodzicami, a służba przed chlebodawcami, padają na kolana. Japończyk zdejmuje przed wyższym obuwie. wkłada prawą rękę w lewy rękaw i woła: Aughi, aughi t. z. nie spraw mi jakiej przykrości! Prosty Siamczyk rzuca sią na ziemię, gdy ujrzy jakiego dostojnika. Powitany tym sposobem wysela swojego służącego, aby się przekonał, czy tamten nie ma na sobie jakiej cuchnącej substancji. Jeśli nie ma, podnosi go z ziemi, w przeciwnym razie częstuje go potrąceniem nogą. Do kobiet przemawiają najbardziej wyszukanemi wyrazami, przyczem przymiotniki, jak „młoda róża,“ „młody klejnot“ itp. nigdy nie brakną. Poprzysięgają sobie dwaj Siamczycy przyjaźń, to kaleczą sobie z lekka lewą rękę i wysysają wzajemnie krew z rany. Arab woła do przechodzącego: „Salam aleikum“ (pokój z tobą) przyczem kładzie lewą rękę na piersi, na znak, iż życzenie to jego pochodzi z serca. Na to powitany odpowiada: „Aleikum essalam!“ (i z tobą niech będzie pokój!) tej formułki używali jakiś czas i żydzi. Starszy godnością Arab obejmuje znajomego ramionami po kilkakroć, całuje go tyleż razy w policzki, i dowiaduje się troskliwie o jego zdrowie. W Afryce powitania sa już najbardziej niewolnicze. Abisyńczykowie i inni padają na kolana i całują ziemię w pokorze. W dolnej Gwinei witający bierze końce palców witanego, potrząsa niemi z lekka i mówi: „akkio, akkio!“ (jam twój sługa.) Maudingowie witając kobietę, biorą jej rękę i obwąchują po dwakroć. W ciekawy sposób powitali Anglika Snellgrave'go, posłowie króla Dahomey'u. Zbliżyli się do niego z dobytemi mieczami, które wyrzucali po nad głowami pośród na dziwaczniejszych skoków i poruszeń. Następnie przyłożyli mu końce mieczów do piersi, a po kilku mniejszych ceremanjach, podali mu ręce i wypili jego zdrowie. Maurowie w Marokko pozdrawiają obcych w sposób tak dziwny, że nieobeznanego łatwo nabawić mogą przestrachu śmiertelnego. Pełnym galopem konia najeżdżają na powitanego, i tuż przed nosem jego, strzelają z pistoletu. W Egipcie całują ręce wysokim urzędnikom, nigdy zaś kobietom. Niżsi oficerowie podtrzymują wyższym strzemię. Znakiem najwyższej grzeczności jest pocałunek złożony na własnej ręce, którą potem kładą na głowie witanego. Etiopowie biorą obcą prawą rękę, i niosą ją do ust swoich. Powitania krajowców w Ameryce są nader ceremonjalne. Dziki w Luizjanie wydaje głośny okrzyk gdy gość przedni wejdzie do jego chaty. Gdy powitany da mu znak lekkiem skinięciem głowy, że może usiąść, wówczas uszczęśliwiony podnosi ramiona w górę i wydaje trzykrotny okrzyk na podziękowanie. — Z tego wszystkiego widzimy, jak rozmaite są sposoby pozdrawiań u ludów wszechświata, i że z nich łatwo poznać można odnośny stopień oświaty i sposobu myślenia. Niewolniczemi są pozdrawiania u ludów jęczących pod jarzmem ślepego despotyzmu, ograniczonemi li na przyjętą formułkę u cywilizowanego Europejczyka, a najczęściej pozbawionemi nawet tej formułki w wolnej Ameryce. Atoli nietylko u całych narodów, lecz i pojedynczych ludzi, ze sposobu witania wnosić można o ich charakterze i stopniu wychowania. Z podniesionem czołem i ze swobodą w ruchach swoich wita człowiek prawy i szanujący swą godność człowieczą; z pochlebstwem na ustach i wśród tysiącznych ukłonów wita obłudnik, człowiek zły lub prostak.

— Próba siły i wytrwałości, którą złożył niedawnemi czasy kapitan Webb przepłynąwszy jak wiadomo kanał cały, zrobiła chwilowo dość interesownem to wszystko, co się tylko odnosi do pływania. Dziennik „Bulletin Français“ ogłosił całą rozprawę o sławnych pływakach i nurkach, z której wyjmujemy co ciekawsze w tej mierze daty. Prawdą to, jak twierdzą ogólnie — pyta autor wspomnianej kroniki — że popis dzielnego kapitana Webba nie ma sobie nic równego w dziejach ludzkości? I rzeczywiście, w historji starej Europy nie znajdujemy nazwiska ani jednego pływaka, któregoby porównać można z angielskim kapitanem. Jakkolwiek Grecy i Rzymianie przywiązywali nawet przesadnią wartość do sztuki pływania — i tak n. p. mówiono w formie przysłowia o człowieku „do niczego“ — że nie umie ni „czytać“ ni „pływać“ mimo to nie pozostawili po sobie ani jednego nazwiska jakiego sławnego pływaka. Romantyczna opowieść o Leandrze, który każdego wieczora przepływać miał Helespont, by zdążyć do swojej Hero, zdaje się być więcej bajką, aniżeli historyczną prawdą. Lord Bajron przepłynął rzeczywiście w r. 1810 kanał Dardanellów, a to w celu by okazać, że tradycja o Leandrze spoczywa na faktycznej podstawie. Powiadają, że był dumniejszym z tej wycieczki, niżeli ze swojego Czajd Herolda, którego właśnie wtedy ukończył. Podczas wojen używano często pływaków, a przez nich komunikowano się z oblężonemi miastami morskiemi. Tak n. p. w starożytności Lucullus znalazł pływaka, któremu udało się dostać do miasta Cycicus, wówczas oblęganego przez Mitrydata. Podczas oblężenia wyspy Ré przez Anglików w r. 1626, gubernator Thorais wysłał był trzech tęgich pływaków do księcia Angolueme, by mu donieść o fatalnem swem położeniu. Jeden z tych trzech wpadł w ręce Anglików, drugi utopił się z powrotem, a trzeci oblężonym przyniósł szczęśliwie odpowiedź księcia. Nurkowie, którzy łowią perły w perskiej zatoce i na wyspie Ceylon, są wszyscy niepoorównanymi pływakami. Wiadomą jest rzeczą, że wykonywujący czynność połów pereł, zanurzają się na przemian, gdyż jeden może zaledwie półtora do dwu minut wytrzymać pod wodą. Mimo to rzadko kiedy zdarza się by taki nurek przed wieczorem do swojego czółna wrócił. Dla satysfakcji pływa bezustannie po morzu, w pewnej odległości od towarzyszy tak długo, aż kolej zanurzania się na niego nie przyjdzie. Równie nieustraszonymi pływakami są kobiety na wyspie Jawa, a wzwyczajają się do tego sportu od najwcześniejszej młodości.

— Ciekawe zjawisko z życia zwierząt obserwowane na wyspie St. Paul opowiada jeden uczestnik z francuskiej Venus-ekspedycji. Wyspa ta leży o jakie 1000 mil od kontynentu, a że nie posiada ani śladu urodzajnej ziemi, oprócz tego zbywa jej na słodkiej wodzie, przeto jest dla ludzi nie do użycia i wieczną stoi pustką. Jedynymi jej mieszkańcami żywymi, są patagońskie gęsi i inne morskie ptactwo, wylęgające się tam nieprzeliczonemi stadami. Burze, szalejące u brzegów tej skalistej wyspy, są bardzo częste, szczególniej zaś srożą się regularnie podczas zrównania dnia z nocą. Nie jeden tęgi okręt znalazł tu swoją zgubę, a nie dawniej jak przed pięciu laty rozbił się statek, Megära z 800 pasażerami na pokładzie. Wyratowana garstka rozbitków schroniła się na wyspę, pobudowała sobie jakie takie lepianki, i w nędzy żyła aż do chwili, gdy przybyły umyślnie okręt zabrał ich do ojczyzny. Otóż, wyspa wspomniana, została w r. 1874 przez paryską Akademję umiejętności przeznaczoną na stację obserwacyjną dla przejścia Venus przez tarczę słońca. Na czele ekspedycji postawiono Moncheza. Mimo niezmiernych trudności, powiodło się przecie wysłannikom wylądować na wyspę St. Paul. Lepianki przedkilkoletnich rozbitków, były w większej części zburzone. Gdy się do nich zbliżono wypadło z wnętrza ich z wielkim wrzaskiem stado zdziczałych kóz, kotów, szczurów i myszy. Wnet koty, szczury i myszy wróciły do opuszczonych siedlisk, i teraz mogli się przekonać naocznie ku najwiekszemu swojemu zdziwieniu, jak towarzystwo to całe, które w zwykłych okolicznościach w zażartej z sobą żyje wojnie, tutaj jednoczyło się w największej harmonji, i wspólne urządzało łowy na zasoby żywności podróżników.

— Już i wyznawcy Brahmy zaczynają na sposób europejski szukać żon drogą — inseratów. I tak w jednym z ostatnich numerów dziennika „Indu Prakasz“ znajduje się następujący anons: „Życzę sobie wejść ponownie w związek małżeński, a nie liczę jak lat 40. Jeśli przeto jaka wdowa po Indjaninie, w wieku od 20 do 35 lat chciała by się w tej mierze bądźto sama, bądź przez opiekuna swego, porozumieć ze mną, to bliższych szczegółów co do osoby mojej zasięgnąć może w redakcji niniejszego dziennika. Dodam tylko, że od kilku lat mam posadę u rządu angielskiego. Gdyby nie znalazła się pomiędzy wdowami osoba gotowa ofiarować mi rękę, poprzestanę na kobiecie indyjskiej jakiegokolwiek stanu, byle nie liczyła lat wyżej 35. W ogólności gotów jestem ożenić się z pierwszą lepszą braminką, natomiast z góry oświadczam, że propozycje pochodzące od pań wyznania buddystycznego, chrześcijańskiego lub mahometańskiego nie będą uwzględnione, chyba w tym razie gdyby kandydatka zobowiązała się przyjąć wyznanie bramińskie. — Inou szukający żony.

Od Redakcji.

Upraszamy szanownych prenumeratorów o rychłe odnowienie przedpłaty na kwartał następny, który się zaczyna d. 1 Lipca rb.

Treść Nr. 24.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).